Po konfiskacie nakład drugi

Nr. 11a — CENA **30** GR. — Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. — ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

PRZYPOMINAMY NASZYM P. T. ABONENTOM, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA 2-GI KWARTAŁ.

WPŁATY USKUTECZNIAĆ NALEŻY WYŁĄCZNIE NA

KONTO P. K. O. NR. 4.043.

ADMINISTRACJA,

18 kwietnia 1937 — WARSZAWA — 7 ijar 5697

Dr. M. KLEINBAUM

Pomówmy o emigracji uczciwie i po męsku

Wydaje nam się, że „Ster" jak i cały obóz demokracji syjonistycznej, stawia sprawę emigracji żydowskiej z Polski na płaszczyźnie rzeczowej i obiektywnej. Oto w poprzednim numerze oceną dwugłosu publicystów polskich w tej sprawie — socjalisty J. M. Borskiego, oraz ekonomisty „Gazety Polskiej", J. W., — daliśmy dowód, że nie każdy głos za emigracją żydowską poczytujemy za wyraz antysemityzmu i nie każdego zwolennika tej emigracji za antysemitę. Zresztą sami uznajemy potrzebę emigracji dla mas żydowskich. Nie jesteśmy zarażeni chorobą doszukiwania się antysemityzmu za wszelką cenę wszędzie tam, gdzie nie ma mdłego filosemityzmu, nie prześladuje nas tak rozpowszechniony, niestety, „kompleks antysemicki". To zaś upoważnia nas, nakłada poprostu obowiązek ponownego zabrania głosu w sprawie emigracji ex re nowych wystąpień prasy polskiej.

*

„Wiadomości Literackie", których wydawcy dobrze rozumieją, co jest geszeft a co nie, co jest bezpieczne i „błagonadiożne" a co nie, starają się ostatnio przemycić na łamy swego tygodnika najzwyklejszy w świecie antysemityzm pod płaszczykiem niewinnej ankiety. Zapoczątkował ją Aleksander Świętochowski, sędziwy reakcjonista, dawno ze swą radykalistyczną przeszłością pokłócony. W artykule p. t. „Antysemityzm" Świętochowski zakłada, że antysemityzm jest prądem naturalnym, którego przełamać ani uniknąć się nie da. Pomimo równouprawnienia i tolerancji; pomimo wybitnej roli, jaką Żydzi odegrali w tworzeniu kultury europejskiej; pomimo licznych objawów geniuszu w nauce, literaturze i organizowaniu społeczeństw (co na to drugi dyskutant, p. Hulewicz, odsądzający żydostwo od twórczej roli cywilizacyjnej?); pomimo czcigodnych jednostek, zajmujących nawet w państwach cywilizowanych wszelkie stanowiska aż do najwyższych włącznie — Żydzi wszędzie są mniej lub więcej wyosobniani i nielubiani. Przyczyną obcości Żydów ma być niespotykana u innych narodów siła niezniszczalna, która nie tylko opiera się najcięższym pognębieniom, ale służy też do zachowania wśród najwyższych kultur form własnych, starych, barbarzyńskich. Tylko nieznaczny odsetek Żydów uległ asymilacji, reszta zachowała odrębność. Tu leży źródło antysemityzmu, który wszędzie zależy od liczebności Żydów i ich roli w życiu politycznym, kulturalnym i społeczno-gospodarczym danego kraju. Stąd podłoże silnego prądu antysemickiego w Polsce. Akty gwałtu należy potępić, ale program antysemitów, program ograniczenia Żydów w prawach i wypędzenia ich z Polski, choć barbarzyński i niewykonalny, to jednak program. Natomiast obrońcy Żydów obrzucają tylko swoich przeciwników obelgami, nie dając odpowiedzi na istotę zagadnienia, czy „Żydzi mają tu pozostać nadal w niezmienionym położeniu polityczno-społecznym i z nieograniczoną swobodą rozwoju w liczbie i znaczeniu, czy też powinna dokonać się jakaś pokojowa ich redukcja przez dobrowolny odpływ". Rozumie się, że Świętochowski jest za tą drugą alternatywą.

Drugi poważny głos o emigracji żydowskiej, który warto z prasy polskiej z ubiegłego tygodnia przytoczyć, to artykuł „Polski Zbrojnej". Jak zwykle„ popełnia się i w organie kół wojskowych znany błąd generalizowania, gdy chodzi o stanowisko Żydów. Odmawia się bowiem ogółowi Żydów w kraju umiaru i trzeźwego sądu w kwestii emigracyjnej. Drugim błędem jest przeciwstawienie żydostwu polskiemu żydostwa międzynarodowego, amerykańskiego w pierwszy rzędzie. Gdyby „Polska Zbrojna" bliżej się starała poznać stanowisko poważnej publicystyki żydowskiej w Polsce, i nie czerpała wraz z całą prasą polską wszystkich wiadomości o Żydach wyłącznie z jednego źródła i to najmniej kompetentnego, toby nie musiała się powołać na głosy dziennikarzy żydowskich aż z Nowego Yorku, — wszystkie bowiem opinie, które cytuje z nie ukrywaną satysfakcją z „Togu" i „Morgen-Żurnalu", stale wypowiadają w Warszawie „Haint i „Wort". Mniejsza zresztą o te dwa błędy. Ważniejszą rzeczą jest streszczenie tych wniosków nowojorskiej prasy żydowskiej, które warszawski organ wojskowy pochwalił za umiar i trzeźwość sądu. Znajdziemy tam stwierdzenie, że obecna struktura ekonomiczna ludności żydowskiej jest niezdrowa; że położenie gospodarcze Żydów polskich byłoby ciężkie, gdyby nawet w Polsce nie było antysemityzmu; że przy obecnym systemie ekonomicznym część żydostwa musi z Polski wyemigrować; że konstruktywny program pomocy powinien obejmować skierowanie Żydów do takich zajęć, gdzie nacisk ekonomicz. antysemityzmu jest słabszy, jak i wzmożenie emigracji do Palestyny i wyzyskanie możliwości emigracyjnych na innych terenach; że gdyby rząd polski rozwiązał kwestię bezpieczeństwa żydowskiego, byliby przywódcy żydowscy chętnie gotowi zasiąść wspólnie z reprezentantami rządu nad sposobami rozwiązania sprawy żydowskiej. „Polska Zbrojna" sygnalizuje głosy prasy żydowsko-amerykańskiej, jako dowód dojrzewania zagadnienia emigracyjnego.

*

Potraktujemy obydwa wystąpienia — Al. Świętochowskiego i „Polski Zbrojnej" — łącznie, ile-że obydwa reprezentują t. zw. kulturalną formę antysemityzmu, wyłączającą akty gwałtu i fizycznego terroru.

Świętochowski źle określa patogenezę antysemityzmu, gdyż prąd ten w istocie rzeczy nie zależy ani od stopnia niezdolności do asymilacji, ani od liczebności Żydów, ani też od ich aktywności w życiu zbiorowym. W Niemczech wybuchł potężny ruch antysemicki, a w Stanach Zjednoczonych A. P. prawie go nie ma, a przecież żydostwo niemieckie było bez porównania więcej zasymilowane od amerykańskiego, osiem razy mniej liczne (absolutnie biorąc), a rolę w ogólnym życiu państwowym odgrywało bynajmniej nie większą, niż Żydzi półkuli zachodniej. Jaskrawy ten przykład obala cały gmach myślowy Świętochowskiego. Albowiem istotna przyczyna antysemityzmu tkwi w nienormalnym położeniu narodu żydowskiego w świecie, w jego bezdomności, w jego politycznej bezsilności. W każdym kraju — bez względu na odsetek ludnościowy i na stopień asymilacji — MNIEJSZOŚĆ ŻYDOWSKA STANOWI LOCUS MINORIS RESISTENTIE, punkt najsłabszego oporu, najzupełniejszej bezbronności. I dlatego wszelaka demagogia skierowuje w tę właśnie stronę gniew ludu, napór niezadowolonych bo pokrzywdzonych mas. REAKCJA, KAPITALIZM, FASZYZM WYZYSKUJĄ ANTYSEMITYZM DLA SWYCH CELÓW, ALE ONE GO NIE ZRODZIŁY, — ZRODZIŁA GO NIESAMOWITA SYTUACJA NARODU ŻYDOWSKIEGO, KTÓRY ZNAJDUJE SIĘ WSZĘDZIE, ALE NIGDZIE NIE JEST U SIEBIE.

Z tych przesłanek wychodząc, syjonizm uznał, że dalsze bytowanie żydostwa wyłącznie w rozproszeniu prowadzi nieuchronnie do katastrofy, i podjął myśl powrotu narodu żydowskiego do normalnego życia państwowego w jego utraconej ojczyźnie. Normalizacja bytu narodu żydowskiego, jego wyzwolenie, nadanie mu samodzielnej siły politycznej, której jedyną formą i źródłem jest państwo, — oto jedyna droga do uwolnienia żydostwa od roli wiecznego kozła ofiarnego, a świata od plagi antysemityzmu, który hamuje postęp ludzkości i krzyżuje ustawicznie walkę o nowy, sprawiedliwy ład.

Z tej pobieżnej analizy wynika jasno, że emigracja żydowska do Palestyny jest koniecznością już ze względów pozytywnych, ze względu głównie na narodowe aspiracje lwiej części żydostwa. Ale na potrzebę emigracji wpływają też względy negatywne. Można wykazać z zupełną dokładnością, że na całej przestrzeni historii żydowskiej diaspory Żydzi tworzyli i zajmowali w każdym kraju te gałęzie życia gospodarczego, które przez naród większościowy były zaniedbane. Ale gdy ewolucja tego narodu doprowadziła go lub zmusiła do objęcia zawodu, stworzonego i opanowanego przez Żydów, zawsze powstawał ruch antysemicki, który się szerzył i rósł tylko dzięki politycznej słabości i bezbronności Żydów; Żydzi musieli albo przerzucić się na nową, nie obsadzoną jeszcze gałęź produkcji, albo wywędrować z danego kraju. Oto twarde, nieubłagane prawo żydowskiej diaspory. To właśnie prawo miał na myśli dziennikarz żydowsko - amerykański, pisząc o potrzebie emigracji Żydów z Polski nawet, gdyby antysemityzmu nie było: naród polski bowiem wytwarza własne mieszczaństwo.

Ale tu trzeba zwrócić uwagę redaktorom „Polski Zbrojnej", że nawet w ich streszczeniu głosów żydowskich zza Oceanu, tak szczerze przez nich zaaprobowanych, znajdują się trzy bardzo istotne warunki, towarzyszące zagadnieniu emigracji w oświetleniu żydowskim. Mowa tam jest mianowicie, o tym, że tylko „CZĘŚĆ żydostwa w Polsce musi wyemigrować", a zatem reszta żydostwa musiałaby w Polsce pozostać. Mowa tam jest o tym, że program konstruktywny obejmować winien prócz emigracji także skierowanie pozostałych w kraju Żydów do nowych zawodów, czyli t. zw. POSTULAT PRODUKTYWIZACJI ŻYDÓW, którego urzeczywistnienie bez udziału i czynnego poparcia rządu jest nie do pomyślenia. Jest tam wreszcie mowa o BEZPIECZEŃSTWIE ŻYDOWSKIM, zapewnionym przez rząd, trzeba zaś wiedzieć, że bezpieczna może być ludność tylko równouprawniona, chroniona przez prawo przed krzywdą, dyskryminacją i dyfamacją. W ten oto sposób doszliśmy na podstawie artykułu „Polski Zbrojnej" do rozstrzygającego pytania, jaki ma być STOSUNEK RZĄDU DO LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ: czy Rząd da Żydom, nie objętym programem emigracji, równouprawnienie, bezpieczeństwo, oraz dostęp do „takich zajęć, gdzie nacisk ekonomiczny antysemityzmu jest słabszy"? Dochodzimy do kwestii ogólnej polityki Rządu, jego regime'u w ogóle i w stosunku do Żydów w szczególe.

Aleksander Świętochowski wręcz połączył postulat redukcji liczby Żydów z redukcją ich znaczenia w Państwie, ze zmianą ich położenia polityczno-społecznego, z ograniczeniem „swobody rozwoju w liczbie i znaczeniu" — nie łudźmi się: ze zniesieniem obywatelskiego równouprawnienia. „Polska Zbrojna" i jej cywilne siostrzyce sprawę obywatelskiej pozycji Żydów przemilczają, a inne bardzo ważne enuncjacje nie odbiegają daleko od punktu widzenia Aleksandra Świętochowskiego. A przyznacz chyba zarówno autor „Antysemityzmu" w „Wiadomościach Literackich", jak i redaktor „Polski Zbrojnej" że elementarnym obowiązkiem żydowskich przywódców i pisarzy politycznych jest troska nie tylko o emigrację, ale i o los tych rzesz żydowskich, które w Polsce przecież zostaną. Nikt rozsądny nie będzie nam też czynił wyrzutu, dlaczego pragniemy, aby mniejszość żydowska, która w Polsce zostanie, miała równe obowiązki i prawa obywatelskie, bezpieczeństwo, chleb, swobodę rozwoju kulturalnego. A od tego już tylko jeden krok do zrozumienia, dlaczego MY, uznający potrzebę emigracji Żydów z Polski, sprawę tę wiążemy organicznie ze sprawą równouprawnienia. Poprostu: nie możemy urwać dyskusji na samej tylko emigracji; pytamy z miejsca, co będzie z pozostałą resztą, i bez zadawalającej odpowiedzi na to pytanie nie może być mowy o zgodnej współpracy czynników żydowskich w punkcie pierwszym — emigracji.

Tu — powtarzamy to jeszcze raz — rozchodzimy się my, syjonistyczni demokraci, z niesyjonisami (S. Hirszhorn, „Bund") z jednej strony, i z nie-demokratami (rewizjoniści Żabotyńskiego i Weisla) z drugiej strony. Pierwsi negują emigrację z zasady (S. H. łaskawie się zgadza na „powolną" emigrację do Palestyny), i dlatego każdy, kto stawia postulat emigracji żydowskiej, jest eo ipso antysemitą, dlatega socjalista Borski jest antysemitą w ich oczach, dlatego w prasie bundowskiej stale wysuwana jest bezmyślna teza tożsamości syjonizmu z antysemityzmem. Drudzy — rewizjoniści — negują życie żydowskie poza Palestyną, i dlatego akceptują każdą inicjatywę emigracyjną, chociażby była połączona z najbezwzględniejszym antysemityzmem (ewakuacjonizm). My natomiast, dążąc do odbudowy żydowskiego kraju ojczystego, i uznając potrzebę emigracji Żydów z całego szeregu krajów, ani na chwilę jednak nie tracimy z oka perspektywy dalszego bytowania mas żydowskich w krajach ich rozproszenia. Los ich i przyszłość, jako części wielkiego rozproszonego narodu, zależy wprawdzie od powstania żyd. państwowości, ale ich byt codzienny zależy od warunków, panujących w krajach europejskich. Jedyne zaś warunki, umożliwiające mniejszości narodowej znośny byt i rozwój, to DEMOKRACJA. Stąd nasza synteza walki o żydowską Palestynę i masową do niej emigrację z walką o demokratyzm w Polsce i w świecie całym. Akceptujemy emigrację żydowską przy reżimie demokracji i równouprawnienia, — odrzucamy emigracjonizm jako hasło obozu faszyzmu i ucisku.

Dla Endecji hasło emigracji jest tylko hasłem demagogicznym, mającym wypełnić pustkę ideową jej koncepcji państwa narodowego przy 35 proc. mniejszości etnicznych, jakby naprawdę „odżydzenie Polski", mogło prowadzić do „Polski Narodowej". Dla budzących się do nowego życia grupek sanacyjnych hasło emigracji żydowskiej jest środkiem do zdobycia wpływu w masach, podżeganych przez propagandę endecką. Dla polskiego socjalisty, stojącego na gruncie równouprawnienia wszystkich obywateli i autonomii kulturalnej dla mniejszości żydowskiej, sprawa emigracji żydowskiej może stać tylko tak: skoro jest koniecznością, skoro Żydzi sami jej potrzebują i chcą, to nie wolno pozwolić reakcji używać jej jako hasła demagogicznego, a musi ją socjalizm polski poważnie uwzględnić w swym programie.

Nie, to już nie jest antysemityzm. To świadczy tylko, że w szeregach P.P.S. dojrzewa syjonistyczna prawda, iż socjalizm sam sprawy żydowskiej nie rozwiąże, iż po zwycięstwie socjalizmu nawet istnieć będzie problemat emigracji i terytorialnej koncentracji Żydów. Ta koncepcja łączy postulat emigracji z postulatem równouprawnienia. Dlatego ją akceptujemy, odrzucając endo-sanacyjne koncepcje emigracji żydowskiej, połączone z eksterminacją i upośledzaniem prawnym mas żydowskich Dlatego dalecy jesteśmy od wszelkiego kompromisu z istniejącym stanem rzeczy. Dlatego nie może być mowy o wspólnej polsko-żydowskiej inicjatywie emigracyjnej, póki możliwe są Sokołowy Podlaskie. Dlatego chcemy zwycięstwa Demokracji polskiej, byśmy mogli wspólnie zasiąść i o rozwiązaniu zagadnienia żydowskiego w Polsce, w tym również o sprawie emigracji, móc pomówić uczciwie i po męsku.

Pozostać!

Należy sądzić, że zewnętrzna niedola, w której znalał się naród żydowski, musiała wpłynąć na zmniejszenie się jego wewnętrznej nędzy; po katastrofie, która dotknęła prawie połowę narodu żydowskiego, po sposobie, w jaki ta katastrofa odbiła się na jednostce i na zbiorowości, nikt nie powinien mieć wątpliwości, że Żydzi stanowią wspólnotę losu i że moralnym obowiązkiem każdego Żyda jest w wspólnocie tej pozostać. Tak należało się spodziewać — ale tak nie jest. Świadomy i nieświadomy pęd do asymilacji istnieje nadal. Jest jeszcze dużo Żydów i grup żydowskich, wierzących, że asymilowanie się do innych narodów jest najlepszą, najpewniejszą a nawet najbardziej etyczną drogą rozwiązania zagadnienia żydowskiego.

Asymilacją nieświadomą jest komunizm wielu Żydów zachodnich. Dotyczy to w szczególności młodzieży. Mówi się o wielkim ideale komunistycznej ludzkości, ale znaczna część patosu, entuzjazmu i nadziei, ożywiających tych ludzi, wypływa — może podświadomie — z przekonania, że komunizm jest tym brzegiem, na który zrzucić można ciężar przynależności do żydostwa. Kiedy zaś to podświadome przeświadczenie o możliwości osobistego wyzwolenia jest oparte na idei wyzwolenia całej ludzkości, oraz na całym bogato rozbudowanym racjonalistycznym systemie — wtedy powstaje sytuacja, która wiele tłumaczy.

Obok tego zamaskowanego grawitowania ku asymilacji występuje wciąż jeszcze asymilacja świadoma. Idea organizowania „a s y m i l a c j i d o k o g o k o l w i e k b ą d ź" podkreśla dobitnie negatywny charakter i t e n d e n c j ę d e z e r t e r s k ą dążeń asymilacyjnych. Albowiem wszystkie te rozmaite rodzaje asymilacji łączy jedna tendencja: u c i e c z k i o d ż y d o s t w a.

A właśnie ten moment my, syjoniści, zwalczamy w sposób najbardziej bezwzględny. Cóż bowiem było najgłębszą przyczyną, która ludzi naszego środowiska w obecnej sytuacji żydostwa uczyniła syjonistami? Nie jest nią znajamość żydostwa — ta ostatnia bowiem jest niestety po większej części mała — nie jest nią nacjonalizm w powszechnym znaczeniu, albowiem zbyt wiele przecierpieliśmy od szowinizmu innych narodów, by stać się nacjonalistami w dzisiejszym sensie — nie jest nią też religia. — Uważamy, że przyczyną tą jest moralne uczucie wierności w stosunku do tysiącleci, które nas doprowadziły do współczesności. Jest to świadomość wierności wobec zbiorowości, znajdującej się w ciężkiej sytuacji oraz pogarda do uciekania od społeczeństwa, które jest atakowane. To właśnie uczyniło nas syjonistami, to kazało nam zarazem odrzucić drogę asymilacji do innych narodów. My nie chcemy uciekać.

To może brzmi bardzo prymitywnie i negatywnie; w rzeczywistości jednak oznacza to jedno z najgłębszych osiągnięć etycznych. Cóż bowiem oznacza ciężki i najbardziej istotny postulat etyczny wytrwania pod ciężarem swojego losu (Martin Buber: być posłuszny głosowi Boga) — jak właśnie: nie uciekać? Czym jest wierność wobec prawdy, czym walka z ucieczką w krainę iluzji i samoomamiania się, jak właśnie: nie uciekaniem? Czym jest wierność wobec siebie samego, wobec własnej przeszłości, wobec historii, wobec swojego narodu, jak znowu: nie uciekaniem?

To jest naszym celem; dlatego staramy się demaskować tendencję do uciekania wszędzie tam, gdzie ją spotykamy bez względu na to, czy jest ona ukryta, czy jawna. Naszym celem nie jest organizowanie ucieczki, ale wierne pozostanie na stanowisku, na które wysunęły nas wieki żydowskiej historii.

F.W.

Robert Weltsch

DWIE DROGI MATHIASA ACHERA

Natan Birnbaum nie żyje! Był to niespokojny duch, niegdyś burzliwie działający na arenie życia żydowskiego, zdolny do bezgranicznego oddania się rządzącej nim idei, w istocie rzeczy wielki samotnik, mimo, że w poszczególnych okresach życia otaczało go wierne koło przyjaciół i uczniów. Chcąc scharakteryzować Birnbauma jako człowieka, można powiedzieć, że przy wszystkich licznych przemianach ideologicznych, którym podlegał, wyróżniała go jedna cecha: *wierność wobec siebie samego*. Był on wielkim „non-konformistą", a rzeczą charakterystyczną dla naszych czasów jest okoliczność, że taki człowiek w końcu przystał do ortodoksji, mimo, że i tam pozostał indywidualnością, która nie może podporządkować się szablonowi życia partyjnego.

Na szlaku życia Natana Birnbauma zetknęły się ze sobą wszystkie te potężne siły, które określamy wspólnym mianem „żydowskiego renesansu". Był on jednym z pionierów nacjonalizmu żydowskiego w Europie Zach. W drugiej połowie 19. stulecia *Wiedeń* stanowił punkt zetknęcia się Wschodu z Zachodem, a ludowe siły żydostwa wschodniego pod wpływem ducha zachodnio-europejskiego musiały przybrać nowe formy. Już same tytuły pism Birnbauma są wielomówiące: jego czasopismo (od 1893 w Wiedniu) nazywa się „Selbstemanzipation", w r. 1893 ukazuje się „Die Nationale Wiedergeburt", w r. 1896 „Die Juedische Moderne". Było to właśnie to, do czego dążyła młodsza generacja żydowska, „nowoczesne" żydostwo, które potrafi znaleźć dla swej kultury własny, ale zgodny z duchem nowoczesnego świata, wyraz. Już w r. 1883, po wielkim pogromie rosyjskim i po ukazaniu się „Autoemancypacji" Pinskiera, młody Birnbaum, wspólnie ze Smoleńskim i innymi założył w Wiedniu pierwszy żydowski związek akademicki „Kadimah". Wkrótce jednak — a jest to charakterystyczne dla przyszłego Birnbauma — wystąpił z Kadimy, albowiem przemieniła się ona w korporację akademicką, a Birnbaum odrzucał podobne formy organizacyjne. Na długo przed wystąpieniem Herzla był on entuzjastycznym propagatorem syjonizmu. *Słowo syjonizm pochodzi od niego*, a także ideę państwowości żydowskiej można znaleźć w pismach jego już w r. 1893. Na pierwszym Kongresie Syjonistycznym — Birnbaum wygłosił referat kulturalny, ale wkrótce odchodzi od Organizacji Syjonistycznej, nie odpowiadają mu bowiem metody polityczne Herzla („dyplomatyzowanie"). Zawsze kroczy on własnymi drogami, a gdy inni doganiają go, jest on już jest Achad-Haam? — Gdzie jest Natan jeszcze dalej. W głębokim zrozumieniu własnej roli nadaje sobie pseudonim pisarski „Mathias Acher" („acher" oznacza po hebrajsku: inny, obcy). Pod pseudonimem tym występuje nie tylko w publicystyce żydowskiej i syjonistycznej, ale także w czasopismach ogólnych, w których na przełomie dwóch stuleci wypowiadał się w sprawach kulturalnych. Przekonany o konieczności *organicznego* rozwoju rzeczywistych sił narodu, uważał on, że syjonizm Herzla jest sztuczny i powierzchowny: nie uznawał też prymatu idei Palestyny nad rzeczywistym życiem narodowym w diasporze. Zarzucał ruchowi syjonistycznemu, że pochłonięty własnym życiem organizacyjnym i doktrynerskimi ideologiami, nie troszczy się o prawdziwy naród, zaniedbując narodowe siły. Aby siły te rozwinąć, należy identyfikować się z życiem mas w diasporze i uznać ich swoiste wartości. „Narodowość" rozumiał przede wszystkim jako zasadę duchowo-kulturalną. W duchu organicznej idei ludowej Herdera, Birnbaum począł się wgłębiać w pieśni i obyczaje ludowe. Tak oto stał się on jednym z radykalnych bojowników *języka żydowskiego* i zorganizował w r. 1908 w Czerniowcach pierwszą żydowską konferencję językową. Inicjatywa ta wywołała wówczas w życiu żydogałęzieniach i objawach — do żydowskiej *religii*. Radykalna zmiana światopodowskim wielkie wrażenie i poważne walki wewnętrzne.

W obradach konferencji uczestniczyli najwybitniejsi pisarze żydowscy. Proklamowano równouprawnienie języka żydowskiego w stosunku do hebrajskiego, uznając żydowski za drugi język narodowy. W tym okresie Birnbaum znalazł się chwilowo w ostrej opozycji przeciw syjonistom, ale spoglądając z perspektywy na ówczesne walki dnia, musimy Birnbaumowi przyznać dostojne miejsce w historii ruchu narodowo-żydowskiego. Albowiem przyczynił się on do rozwoju tych sił, które później stały się jednym ze składników nowej koncepcji żydowskiego nacjonalizmu. Rozpatrując różnice zdań w ówczesnym życiu żydowskim, należy pamiętać, że syjonizm po śmierci Herzla był pozbawiony bliskich możliwości politycznych, zmuszony niemal wyłącznie ograniczać się do ram organizacyjnych; także *wewnątrz* Organizacji Syjonistycznej panowało żywe niezadowolenie z takiego stanu rzeczy. Chaim Weizman był tym, który na haskim Kongresie Syjonistycznym w r. 1907 w świetnej mowie opozycyjnej zarzucał ówczesnemu kierownictwu, że nie potrafiło przyciągnąć twórczych umysłów żydowskiego odrodzenia; „Gdzie Birnbaum?" — wołał Weizman z trybuny Kongresu. Ruch polityczny i ruch duchowy poszły odrębnymi drogami i dopiero w 1911 r. poczyniono próbę ponownego ich sharmonizowania.

Natan Birnbaum tymczasem sam rzucił się w wir czynnej polityki: kandydował w Galicji do austriackiego parlamentu; przeszedł w ścisłym głosowaniu, ale w ostatniej chwili wybór jego udaremniono przy pomocy zastosowania słynnych „galicyjskich metod wyborczych". Birnbaum zdawał sobie wszakże sprawę, że ta kampania wyborcza posiada nadzwyczajne znaczenie, jako środek budzenia świadomości narodowej mas żydowskich, które dotąd nawet duchowo znajdowały się w stanie niewolnictwa. Po politycznym niepowodzeniu Birnbaum powrócił do pracy kulturalnej, wydając szereg gazet i czasopism i nawiązując kontakt z zachodnio - żydowską grupą w Niemczech. Nadał on jej nazwę „Altjudentum", pragnąc osiągnąć syntezę żydostwa zachodniego i wschodniego.

Coraz silniej wgłębiając się w żydowskie życie ludowe, Birnbaum, który swą żydowską drogę życiową zapoczątkował jako ateista i materialista historyczny, coraz bardziej zbliżał się do tego podstawowego elementu, który dominował w całym życiu żydowskim i we wszystkich jego oglądu Birnbauma zadokumentowała się po raz pierwszy w jego pracy, wydanej w czasie wojny (1917): „Gottes Volk". Z patosem mówi on o głębokim wstrząsie i osobistym przeżyciu, związanym z tą zmianą. Toteż nawet ci, którzy nie mogą solidaryzować się z dalszymi drogami jego polityki, muszą z głębokim szacunkiem ocenić to wielkie duchowe przeżycie, albowiem wszystko, co Birnbaum czynił, przepojone było bezwzględną uczciwością i osobistą ofiarnością. W tym okresie ukazały się też dalsze religijno-polemiczne pisma Birnbauma: „Um die Ewigkeit" (1920), „Im Dienste der Verheissung" (1927). Odtąd za jedyną drogę narodu uznaje on powrót do religii, a więc zarazem powrót do bezkompromisowego i ortodoksyjnego *przestrzegania przykazań religijnych w życiu osobistym każdej jednostki*. Żydostwo począł rozumieć, jako *teokrację* w sensie biblijnym, a Torę, jako nie podlegającą zmianom księgę praw.

Ten zwrot był ukoronowaniem ewolucji, która, coraz konsekwentniej szła od samej tylko proklamacji do rzeczywistego *czynu* i osobistego urzeczywistnienia. Tak oto powstał wokół Birnbauma krąg ludzi, hołdujących osobistemu realizowaniu idei religijnych, który przybrał nazwę „Ha-Aulim" (wspinający się).

Birnbaum nigdy też nie zapomniał o wielkich socjalnych zadaniach narodowych. Był on jednym z pierwszych którzy zwrócili uwagę na centralne znaczenie *zagadnienia emigracyjnego* („Vor dem Massensturm", 1919), on też namiętnie propagował przejście Żydów z miasta na wieś, nie tylko w Palestynie, ale także w diasporze. Dla *sprawy palestyńskiej* miał ten człowiek, który dojrzał do głębokiej ludzkiej dobroci, wewnętrzną sympatię.

Po wojnie Birnbaum pracował politycznie w szeregach „Agudy", piastując przez krótki czas urząd sekretarza generalnego tej światowej organizacji. Wkrótce jednak i tu zarysowały się różnice poglądów. Birnbaum z największą szczerością krytykował objawy ujemne współczesnego życia ortodoksyjnego. Po pewnym czasie zrezygnował on z wszelkiej działalności organizacyjnej, żyjąc jako pisarz i publicysta w różnych ośrodkach, jak Wiedeń, Berlin, a w ostatnich latach w Holandii, gdzie wydawał czasopismo „Der Ruf".

W ostatnich latach swojego życia osiągnął Birnbaum głęboką pobożność, w której jego niespokojny i burzliwy duch znalazł spokój i pewność wiary. Kacerz Mathias Acher został nawrócony. Teraz oto odszedł od nas na wieki, jeden z najbardziej samorodnych i czynnych żywotów naszej współczesności żydowskiej został zakończony. Była to jedna z nielicznych wielkich postaci żydowskiego ruchu renesansowego, które jeszcze wśród nas żyły.

SOKOŁÓW I USYSZKIN O BIRNBAUMIE

29 lipca 1897 roku w Bazylei otwarty został pierwszy Kongres Syjonistyczny. Na kongres ten przybyło około 200 delegatów i bardzo wielu dziennikarzy, reprezentujących największe dzienniki europejskie. Pomiędzy innymi przybył też ówczesny korespondent specjalny warszawskiego „Izraelity" — Nahum Sokołów. Sokołów w kilku numerach wspomianego tygodnika zamieścił świetne korespondencje z Kongresu, w których poza sprawozdaniem z obrad, naszkicował duchowe sylwetki kilku wybitnych przywódców i sympatyków ówczesnego syjonizmu. Sokołów poświęcił też — pomiędzy innymi — kilka entuzjastycznych słów ówczesnemu przywódcy żydowskiej młodzieży narodowej — Natanowi Birnbaumowi. Sokołów pisał:

„Dr. Birnbaum, namiętny chmurny, żarliwy szermierz, od kilkunastu lat poświęca się propagandzie idei narodowościowej żydowskiej. Ognisty typ semicki, oczy ciskające błyskawice, wcielenie energii i gniewu. Napisał szereg broszur, wydanych we Wiedniu, a teraz wydaje „Zion" w Berlinie. Ulubieniec studentów, agitator pracujący dla idei w nędzy, literacko ukształcony, dobry ekonomista, z łatwością znalazłby korzystne zajęcie i zarobek, któryby wystarczał na przyzwoite wyżywienie licznej rodziny, ale borykający się z niedostatkiem przez idealistyczne swe skłonności, przykuwające go do syjonizmu, który jakkolwiek daje sympatię niektórych kółek studenckich, ale chleba nie daje... Między innymi dały się słyszeć słowa: Gdyby Birnbauma nie było, nie byłoby i Herzla!"

*

Na posiedzeniu Związku Dziennikarzy Hebrajskich w Tel-Avivie wygłosił M. Usyszkin mowę żałobną ku czci D-ra Birnbauma. Pomiędzy innymi powiedział Usyszkin:

„W r. 1899 przebywając we Wiedniu, spotkałem Natana Birnbauma, który przybył po mnie na dworzec. Cały czas mego pobytu w Wiedniu spędziliśmy razem. Był on wtedy chowewe-syjonistą i socjal-demokratą. W casie jednej z przechadzek zaproponowałem mu, abyśmy wstąpili do restauracji. Wyraził on zgodę na moją prośbę, ale nie chciał wejść ze mną do koszernej restauracji, tłumacząc mi, że ze względów zasadniczych nie spożywa potraw koszernych. Spojrzałem na niego uważnie i przekonałem się, że wypowiedział te słowa z pełną powagą. Był to jego światopogląd... Po 31 latach spotkaliśmy się po raz drugi; znajdował się on już wtedy w innym obozie. W Karlsbadzie odbywała się wówczas konferencja towarzystw filantropijnych. Wchodząc przypadkowo na salę spostrzegłem wśród poważnych osobistości, zasiadających przy stole prezydialnym też — Natana Birnbauma w jarmułce, z pejsami i w ubiorze pobożnego Żyda. Zamierzałem wyjść, ale Birnbaum spostrzegł mnie zdala i prosił bym zaczekał. W czasie rozmowy, która się pomiędzy nami wywiązała, zdałem sobie całkowicie sprawę z jego przewrotu duchowego. Przypomniałem mu koszerną restaurację. Birnbaum nie pamiętał tego wypadku. Wreszcie rzekł do mnie: Czy wiesz jaka zachodzi różnica między mną a tobą: „ty symbolizujesz statykę narodu żydowskiego, ja zaś jej dynamikę". — Odpowiedziałem mu wówczas, że jeżeli nadal hołdować będzie takiej zasadzie dynamizmu, to w najbliższej przyszłości wyląduje jeszcze zapewnie w „Haszomer Hacair".

Faszyzm i antysemityzm

Na nasze twierdzenie, że antysemityzm jest nieodłącznym zjawiskiem towarzyszącym faszyzmowi, i że zarówno jak militaryzm i wojna służy dyktaturze do sztucznego utrzymania się przy władzy, — żydowscy faszyści stale odpowiadali powoływaniem się na przykład Włoch, gdzie faszyzm rzekomo nie jest antysemicki. Dopiero przed paru tygodniami von Weisl, goebels Żabotyńskiego, w wywiadzie udzielonym „Czasowi", wyśmiał naszą orientację na demokrację i na walkę z faszyzmem, powołując się znów na przykład włoski.

Ostatnio zaczęła się we Włoszech heca antysemicka całej niemal prasy faszystowskiej. Już się drukuje sfałszowane „Protokóły Mędrców Syjonu". Już się importuje „teorie" streicherowskiego „Stuermera". Ostatni „naoczny" argument rewizjonizmu na rzecz faszyzmu wziął w łeb.

Należy też przypomnieć, że w zeznaniach przed Komisją Królewską w Londynie p. Żabotyński plótł trzy po trzy o odebraniu mandatu nad Palestyną W. Brytanii i oddaniu go innemu mocarstwu (Włochom). — Wkrótce po tym Mussolini w swej wielkiej mowie afrykańskiej ogłosił się protektorem muzułmanów i Arabów na całym świecie.

Tędzy oni są politycy, ci nasi domorośli faszyści!

NASZEMU CENIONEMU WSPÓŁPRACOWNIKOWI

Panu Dr. Tulo Nussenblattowi (Wiedeń)

PRZESYŁAMY WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA Z POWODU ZGONU

b. p. Ojca Jego

REDAKCJA „STERU".

Pimpersztok na wesoło

(FELIETON)

„Servus!" — krzyknąłem, ujrzawszy z daleka Pimpersztoka, wyskakującego z tramwaju.

Obejrzał się, podbiegł do mnie uradowany i potrząsnął mi silnie rękę.

„Servus!" — powtórzyłem. „Gdzież Pan był, panie Pimpersztok? Kopę lat Pana już nie widziałem".

„A gdzieżby, jak nie u siebie w Łajnogródku... Siedziałem w domu i wąchałem."

„Wąchał Pan? w Łajnogródku? Nie sądzę, żeby Pan tam coś przyjemnego wywąchał... Cóż Pan tak wąchał? Powietrze łajnogródzkie? Żeby to było jeszcze górskie powietrze? Ale skąd w Łajnogródku górskie powietrze?

„Co Pan tak kpi, panie Ben-Lewi? Łajnogródek i Łajnogródek... Górskie powietrze... Czy Pan nie wie, że może być sztuczne górskie powietrze? Że właśnie w Polsce parę lat temu wynaleziono sztuczne górskie powietrze? To w Łajnogródku też może być sztuczne górskie powietrze. I ja właśnie wąchałem to górskie powietrze,... jak ono się nazywa?..."

„No i co Pan wywąchał, panie Pimpersztok, jeżeli Pan mówi poważnie?"

„No, jeżeli Pan mówi ze mną poważnie, panie Ben-Lewi, to ja Panu powiem prawdę. Ja wąchałem nie górskie powietrze, ja tylko wąchałem tak... Rozumie Pan: ja wąchałem, jak wiatr wieje. Bo dawniej człowiek wiedział, jak. Był sobie Żydem, raz na rok kupował sobie szekel, — ostatecznie, tylko złotówka, — krzyczał czasami „Hejdod" —wstawał jak grali Hatikwę i nie lubił endeków. Potem się zrobiło gorzej, ale człowiek też wiedział, co i jak. Zapisał się do Be-Be. odmawiał kupienia szekla, obrywał sobie guzik na Żabotyńskiego i rzucał zgniłymi jajkami w syjonistów. Ale wiedział, jak jest.

A propos, panie Ben-Lewi, czy to prawda, że w Anglii będą teraz płacili rządową pensję opozycji?"

„A co? chce pan jechać do Anglii, panie Pimpersztok, i wstąpić do opozycji?"

„Moim wrogom... Ja nie lubię być w opozycji, nawet płatnej. Ja wolę zawsze z rządem. Ale ja myślę, że ci Anglicy to wcale nie zrobili takiego wynalazku. My to już robiliśmy dawniej. My w Be-be też mieliśmy zawsze taką opozycję. Myśmy mieli w Sanacji taką opozycję robotniczą i taką opozycję ludową. I teraz też jest taka opozycja. Ale to ja tak tylko..."

„Ale skąd pan taki mądry teraz, panie Pimpersztok? Czyba z gazet. Jaką pa gazetę czytuje?"

„Przeważnie „Kurier Poranny". Póki był Stpiczyński, to ja go nie czytałem: on był dla mnie zanadto pojedynkowy. Ale jak przyszedł Rzymowski i mnie kazali się kręcić to do miasta, to do wsi — to zacząłem czytać, i mi się spodobał. Ale jak po Rzymowskim zaczął pisać ten wielki niemiecki poeta, ten co to napisał Fausta."

„Ależ bój się pan Boga, panie Pimpersztok" — przerwałem mu, — przecież Fausta napisał Goete, wielki Goete..."

„No, właśnie Goete..."

„A redaktorem „Kuriera Porannego" był Goetel..."

„Wszystko jedno" — oburzył się Pimpersztok — „co za różnica, czy wielki Goete, czy jego syn, mały Goete, a klein Goetel...

„Niby w czym rację?"

„W tym, co oni tam piszą, że trzeba się bronić przed wpływami kultury żydowskiej. Bo niech Pan jednak przyzna, panie Ben-Lewi, że my, Żydzi, mamy wielki wpływ na kulturę polską. Naprzykład weź Pan ortografię. Dawniej ja nie umiałem dobrze pisać po polsku, nie wiedziałem, gdzie pisać i, a gdzie j, gdzie razem, a gdzie oddzielnie. I robiłem błędy. I moje błędy, moje, Pimpersztoka, miały taki wpływ, że nawet Akademia kazała pisać z takimi błędami jak ja, i teraz sam starosta chodzi do mnie uczyć się pisać. Więc ja mówię, że oni, ci owszem to mają rację".

„To może Pan powie, panie Pimpersztok, że mają rację i ci, co każą Żydom odbierać stragany?"

„E, panie Ben-Lewi, to ze straganami, to jest zawracanie głowy. Jak kto umie swój stragan prowadzić, to mu nikt go nie odbierze. Naprzykład, ja umiem handlować i mnie straganu nikt nie zabierze. Ja się konkurencji nie boję. Kto ma tyle towaru na sprzedaż, co Pimpersztok? I takiego rozmaitego towaru? Chce Pan asymilację? Proszę, asymilacja pierwszy gatunek, po 3 grosze sztuka. Chce Pan syjonizm? Jest syjonizm. Chce Pan rewizjonizm? Można: rewizjonizm po guziku. Można i Bund i folkistów. Chce Pan niezależną politykę żydowską? Jest do sprzedania. Chce Pan sanację? Mam do wyboru, i prawicową i lewicową i lewiatanową i robotniczą. Chce Pan folksfront? — ma Pan nawet folksfront. Wszystko mogę sprzedać. No kto może konkurować z Pimpersztokiem? A czy Pan wie, wielu takich Pimpersztoków jest w Polsce?" — i roześmiał się wesoło.

Ja też się roześmiałem i pożegnałem Pimpersztoka.

BEN—LEWI.

Leopold Halpern

UKRAIŃCY

Ukraińcy w ramach państwowo-terytorialnych Rzeczypospolitej Polskiej i w stosunku do ogółu ludności w państwie stanowią mniejszość narodową — są oni wszakże zarazem częścią czterdziestomilionowego blisko narodu, pozbawionego dotąd własnej państwowości, na terytoriach, które w sposób zwarty zamieszkuje. Teoretycznie każde państwo rozporządza środkami zaspakajania dążeń narodowych duchowych, ekonomicznych a nawet w dużej mierze politycznych) swoich mniejszości narodowych, z wyjątkiem jednego tylko: *dążenia do niezawisłości państwowej*. Otóż wielomilionowa zbiorowość ukraińska w Polsce, obok licznych dążeń wybitnie mniejszościowych, niewątpliwie przejawia silne dążenie do stworzenia — wespół z Ukraińcami, wcielonymi w granice kilku innych państw wschodnio-europejskich — niepodległego państwa ukraińskiego, ukraińskiej „dzierżawi". W tym obiektywna trudność rozwiązania palącej sprawy ukraińskiej w Polsce — w tym też źródło nie mniejszej trudności znalezienia właściwej drogi orientacji i metod ukraińskiej polityki narodowej w Polsce.

Pomiędzy Scyllą niepodległościowości a Charybdą mniejszościowości musiała przemykać się przez długie lata łódź oficjalnej polityki ukraińskiej w Polsce, bojąc się bodaj w równym stopniu niebezpieczeństw związanych z przybliżeniem się do jednego czy drugiego brzegu. Albowiem konsekwentne opowiedzenie się za taktyką niepodległościową musiałoby oznaczać wojnę z państwem, połączoną z ogromnymi ofiarami narodowymi, przy braku, w obecnym okresie, niezbędnej koniunktury międzynarodowej. Całkowite zadeklarowanie się jednak za polityką mniejszościową byłoby może nie mniej niebezpieczne, groziłoby bowiem zatarciem się naczelnych ideałów narodowych w świadomości mas oraz zaniedbaniem politycznego i psychologicz. przygotowywania się na wypadek narodzenia się nowych koniunktur. Czyż była więc jakaś droga pośrednia?.

Droga, którą przez 18 lat kroczyła polityka ukraińska w Polsce nie mogła być drogą jednolitą — jej poszczególne odcinki są może nie tyle etapami, następującymi konsekwentnie po sobie, ile raczej odrębnymi całościami, pozostającymi w stosunku do siebie w krańcowej nieraz sprzeczności. Początki niepodległości — to zbrojne walki Ukr. Armii Halickiej w obronie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki ludowej. Rok 1922 — to kontynuowanie, tym razem już tylko demonstracyjne — taktyki niepodległościowej, , a więc nieuznawanie faktu wcielenia Małopolski Wsch. do państwa Polskiego. Na wezwanie dr-a. Eugena Petruszewicza, szefa rządu Ukr. Rep. Lud. na emigracji w Wiedniu, Ukraińcy małopolscy zbojkotowali wybory do pierwszego ordynaryjnego Sejmu i Senatu. Ale już w roku 1928 Ukraińcy haliccy pod kierownictwem nowo-założonego potężnego stronnictwa narodowego, Ukraińskiego Narodno-Demokratycznego Obiednania, stanęli na gruncie taktyki mniejszościowej, przystępując do Bloku Mniejszości Narodowych i przeprowadzając liczną reprezentację parlamentarną. W latach tych Ukraińcy polscy prowadzili politykę mniejszościową orientując się na demokrację w kraju i zagranicą. W izbach ustawodawczych ukraińscy posłowie i senatorowie współpracowali w sprawach narodowych i ogólno - państwowych z innymi mniejszościami oraz z polską opozycją lewicową. Zagranicą zaś rozwijali żywą działalność polityczną i propagandową na terenie Ligi Narodów, Kongresu Narodowości oraz wśród zachodnio-europejskich sfer parlamentarnych.

Oczywiście, że cały czas mówimy o ewolucji *oficjalnej* polityki ukraińskiej, która zresztą do ostatnich czasów cieszyła się poparciem najszerszych mas ukraińskich. Istniało jednak i nadal istnieje — także ukraińskie *„podziemie"*. To też jeszcze w okresie mniejszościowo _ demokratyczno-ligowego kursu „UNDO"a i Ukr. Repr. Parlamentarnej, OUN orientował się na Berlin i inne ościenne państwa, prowadząc w kraju szeroko zakrojoną akcję terrorystyczno - rewolucyjną. „Podziemie" radykalno-lewicowe znowu agitowało chłopstwo ukraińskie do irredenty, afiszując Ukrainę Sowiecką, jako już istniejące państwo ukraińskie.

Wróćmy jednak do ewolucji oficjalnej polityki ukraińskiej, bo oto znowu kurs jej zmienił się o dobre 90 stopni. Solidarność Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej z demokracją i opozycją polską w jej dramatycznej walce w obronie likwidowanych instytucji demokratyczno-parlamentarnych przejawiała się *prawie* do ostatniej fazy tej walki na terenie ostatniego Sejmu. *Prawie*, albowiem w ostatecznej chwili ustalania nowej konstytucji, Ukraińcy wycofali się z pola walki, ratując w ten sposób szansę porozumienia się z obozem rządzącym. Porozumienie to, jak wszyscy pamiętamy, nastąpiło też bardzo rychło w postaci kompromisu wyborczego, zawartego przez ministra Kościałkowskiego z UNDO latem 1935 r., a we wrześniu do „naprawionych" izb ustawodawczych weszła liczna stosunkowo reprezentacja Ukraińców halickich (prócz dwóch parlamentarzystów należących do katolickiej UNO, wszyscy ukraińscy posłowie i senatorowie są członkami UNDO).

Rozumie się, że tak ostra zmiana kursu pociągnęła za sobą szereg najrozmaitszych konsekwencji zewnętrznych i wewnętrznych (całkowite wyrzeczenie się taktyki opozycyjnej w kraju i na arenie międzynarodowej, daleko idące taktyczne podporządkowanie się polityce ogólno-państwowej polskiego obozu rządzącego, związane z tym ustąpienie dotychczasowych radykalnych przywdóców UNDO, a zwłaszcza *prezesa Dmytra Łewyckiego* oraz popularnej w Warszawie i w Genewie *posłanki Mileny Rudnickiej*, objęcie kierownictwa partii i repr. parl. przez działaczy bardziej umiarkowanych oraz gospodarczych, jak *redaktor Wasyl Mudryj i sen. Pawlikowski* i t. d.). A społeczenstwo ukraińskie? Znaczna jego część, zaskoczona niespodziewaną zmianą, znalazła się po za ramami porozumienia i aktu wyborczego, który miał je niejako usankcjonować. A więc prawie wszystkie stronnictwa (prócz UNDO i UNO) ustosunkowały się krytycznie wobec kompromisu: opozycja UNDO, obie partie socjalistyczne, „Sojuz Ukrain.", F.N.J. Palijewa i lewica radykalna. Toteż ukraińska frekwencja wyborcza, we wrześniu 1935, aczkolwiek stosunkowo wysoka, była jednak bez porównania niższa niż przy dotychczasowych wyborach. Dziesiątki tysięcy głosów, które mimo to padły na poszczególnych kandydatów ukraińskich, były raczej wyrazem stałego prestiżu i popularności UNDO niż entuzjazmu dla jego nowego kursu, który dla szerszych mas na długo musiał pozostać niezrozumiały.

Jakież więc były motywy tej nowej polityki, która rychło w żargonie politycznym otrzymała nazwę *normalizacji*, jakiż istotny sens porozumienia? Niech nam wolno będzie zacząć naszą odpowiedź zastosowaniem metody negatywnej: tu nie o same mandaty ukraińskie do obecnego parlamentu toczyła się gra, a zasięg porozumienia nie ograniczał się do wyborczego kompromisu. I więcej: tu cel istotny nie wyczerpywał się nawet na kwestii tak rozległej i trudnej, jak sprawa normalizacji stosunku Ukraińców do Państwa i Państwa do Ukraińców. Kto bacznie obserwował niektóre posunięcia nowej Ukr. Repr. Parlament. (n. p. pamiętną deklarację pos. Celewicza o stosunku do armii), kto dobrze przysłuchiwał się nowym nutom, brzmiacym w przemówieniach ukraińskich parlamentarzystów, kto wreszcie umiał czytać także między wierszami znamiennych ostatnio artykułów ukraińskich publicystów — ten pojmie, że oto znowu, ale jakże odmiennym sposobem, łódź ukraińskiej polityki wzięła kurs na śmiałe koncepcje zewnętrzno - polityczne, których realizacja ma przyjść — oczywiście przy zaistnieniu odpowiedniej koniunktury — w wyniku współpracy z nowymi sprzymierzeńcami.

Oficjalna polityka ukraińska od dwóch lat steruje więc pod wiatr nowej orientacji. A orientacja zewnętrzno-polityczna musiała za sobą pociągnąć taktyczne przynajmniej, zbliżenie się do systemów autorytatywnych w Niemczech i w kraju. Ale UNDO z naciskiem podkreśla, że pozostało wierne *idei demokracji*, podczas gdy taktyczna współpraca z systemami autorytatywnymi jest tylko dyktowana aktualną racją polityki narodowej.

Nie wyobrażamy sobie, by nowa orientacja zewnętrzna mogła przynieść narodowi ukraińskiemu zbliżenie do realizacji jego narodowych ideałów. Imperialistyczne plany niemieckie, zahaczające także o Ukrainę, dalekie są od tych ideałów. Ale wróćmy do dwulecia „normalizacji" w kraju, do oceny dotychczasowych rezultatów nowej polityki na odcinku czysto mniejszościowym. Będzie to rzeczą trudną, albowiem od dalekich koncepcji polityki zewnętrznej wypadnie nam teraz oddzielić rzeczywiste zdobycze mniejszościowe, a uzależnienie jednych od drugich zawsze odbija się ujemnie na polityce mniejszościowej i jej rzeczywistych rezultatach. Koncepcje zewnętrzno-polityczne mogą być nawet bardzo śmałe, ale ich wadą jest to, że są dalekie. Tymczasem postulaty mniejszościowe związane są z codziennym życiem narodowym i jego najpilniejszymi potrzebami. Co w tej dziedzinie osiągnęli Ukraińcy? Niewątpliwie, zmieniło się na korzyść nastawienie administracji państwowej, a nawet pewna, ograniczona zresztą, liczba Ukraińców uzyskała w niej stanowiska. Również szeroko rozbudowujące się ukraińskie życie gospodarcze napotyka na tolerancyjny, na ogół, stosunek władz. „Narodnij Dom" we Lwowie odebrano „Starorusinom", ale nie zwrócono dotąd Ukraińcom. Poseł Mudry został obrany wicemarszałkiem sejmu. Ale co więcej? Uniwersytetu ukraińskiego nie ma, nominacji Ukraińców w wyższej administracji trzech województw płd.-wsch. nie ma, o autonomii wschodnio-małopolskiej nawet się nie mówi, „kordon sokalski" w praktyce istnieje nadal, Łemkowszczyznę wyodrębnia się w sposób sztuczny nadal, a elementarne postulaty *mniejszościowe* Ukraińców nie są spełnione. Tak mówi już nie tylko „Diło", które ostatnio uniezależniło się od wpływu UNDO — ale nawet undowscy posłowie. — Wśród społeczeństwa ukraińskiego, a także tej jego części, która głosując na polskich i ukraińskich kandydatów 8. września 1935 r. usankcjonowała „kompromis" i „normalizację" — potęguje się niezadowolenie.

Jest ono tym większe, że nastawienie społeczeństwa polskiego ziemi czerwieńskiej wobec Ukraińców nie tylko nie polepszyło się, ale wręcz przeciwnie, pod wpływem endeckich alarmów o zagrożeniu polskości przez „normalizację", o parcelowaniu ziemi dla Ukraińców i t. p. — wybitnie się pogorszyło. A Ukraińcy zawierali ugodę nie z atakującymi ich dziś polskimi partiami społecznymi, ale z rządem polskim, widząc w nim reprezentanta nie tylko polskiego państwa, ale i narodu. To jest właśnie jedna z podstawowych trudności regulowania spraw narodowościowych w ramach systemów nieparlamentarnych.

Kiedy więc proklamowano Obóz Zjednoczenia Narodowego, znaleźli się publicyści ukraińscy witający ten fakt z zadowoleniem, jako rękojmię, że odtąd społeczeństwo polskie — partner Ukraińców — będzie występować jednolicie. Ukraińcy nie mogą jednak wiedzieć, w jakim kierunku partner ten będzie wobec nich występować.

Powtarzamy: regulowanie spraw narodowościowych w ramach systemów autorytatywnych jest — bardzo trudne. Tym trudniejsze jest ono, gdy systemy te od ideologii *państwowej* przechodzą do akcentowania ideologii *narodowej*. Nie wiadomo jeszcze obecnie, jak ułożą się dalsze losy „normalizacji" — ale sytuacja oficjalnej polityki ukraińskiej wydaje się być trudna.

Legens

KWESTIA NARODOWOŚCIOWA – ŹRÓDŁEM WIELKOŚCI I UPADKU

Literatura naukowa, poświęcona zagadnieniu narodowościowemu w Polsce Odrodzonej, nie rozwinęła się dotąd należycie. Brak w niej objektywnych i ściśle naukowych opracowań problemu. Nad pracami tego rodzaju górują mniej lub więcej udane broszury publicystyczne, pisane pod kątem widzenia tego czy innego stronnictwa i broniące jego aktualnych postulatów politycznych. Prace te nie zastępują, oczywiście, naukowych opracowań tematu, nie mniej jednak spełniają w znacznej części pozytywną rolę, popularyzując zagadnienie narodowościowe Rzeczypospolitej Polskiej i przyczyniając się do kształtowania się poglądów społeczeństwa na tym odcinku.

Książka p. *Bączkowskiego*)* należy właśnie do publicystycznej grupy prac na powyższy temat. Jest to zbiór artykułów autora, dotyczących w pierwszym rzędzie zagadnienia ukraińskiego w Polsce. Autor porusza także ogólny problem mniejszościowy w Polsce, ale czyni to tylko na marginesie, nie ukrywając, że zainteresowania jego koncentrują się raczej wokół sprawy ukraińskiej.

*

„Źródłami wielkości i upadku" Polski — jak łatwo się domyśleć — są według autora sprawy narodowościowe, a w szczególności Kresy Wschodnie. Tak było w przeszłości, gdy Polska utraciła niepodległość, tak jest obecnie. Również o przyszłości Polski zadecydują, według autora, sprawy narodowościowe i Kresy Wschodnie.

Przyczyną upadku Polski była zła polityka narodowościowa. „Minęło półtora wieku, i w Polsce Odrodzonej nie wiele zmieniło się na lepsze w tej dziedzinie. Ciasny i ślepy egoizm klasowy szlachty ustąpił miejsca endeckiemu egocentryzmowi części Polaków, a polityka „kresowa" podawnemu jest zła i nieokreślona". Jest nawet pod pewnym względem gorzej, bo atrakcyjny wpływ kultury polskiej przestał działać.

Autor, zwolennik ideologii pomajowej, przyznaje wszakże, że także od maja 1926 r. kwestia narodowościowa nie przybliżyła się do owego rozwiązania. „Maj 1926 r.... dał w postaci wysuniętego hasła idei państwowej, pierwszą zapowiedź rozwiązania problematu kresowego i narodowościowego w Polcse. Ogrom jednak kłopotów, związanych z układem sił politycznych w polskiej masie narodowościowej, odsunął termin załatwienia tej sprawy na później".

Nie wysuwając narazie pozytywnego programu rozwiązania zagadnienia mniejszościowego w jego całokształcie, p. *Bączkowski* zdecydowanie krytykuje program Stronnictwa Narodowego na tym odcinku, albo jak się wyraża: „kompleks, który w skrócie myślowym określamy mianem obozu narodowego". Faszyzm i rasizm mogłyby mieć u nas zastosowanie, gdyby Polska była jednolitą narodowo. „Lecz jest inaczej i musimy postępować inaczej. Ilość obcoplemieńców w Polsce powoli kroczy w górę od 30% do 40% całej ludności państwa". Jeśli pozostanie stan rzeczy, w którym 20% ludności będzie miało wrogi stosunek do państwa, a drugie 20% zaabsorbuje się neutralizowaniem tej wrogości — oznaczać to będzie 40% ugorów na niwie państwowej Polski.

Krytykując „kompleks endecki wołania o przywilej" i politykę datków dla społeczeństwa polskiego na Kresach, która prowadzi tylko do demoralizacji, autor słusznie wyraża pogląd, że „...jedynie przez rozwiązanie zagadnienia narodowościowego może Polska stanąć na pewnej drodze do wielkości". „Wczujmy się tylko w treść głęboką słów pewnego reprezentanta mniejszościowego (autor ma na myśli b. posła Grünbauma), który w chwili uchwalenia przez Sejm ustawy osadniczej wykrzyknął: „Panowie straciliście w tej chwili na zawsze Mińsk!" Swe wywody na temat zagadnienia mniejszościowego w Polsce autor reasumuje w silnym i głęboko przemyślanym oświadczeniu: *„Polska będzie sięgała tak daleko, jak głęboko w wewnętrznych przekonaniach wszystkich nie-Polaków w Polsce (i tuż poza Jej granicami) tkwić będzie wiara w sprawiedliwość polskiej polityki narodowościowej"*.

Wywody powyższe mogą być uważane za dodatni objaw wzrostu zrozumienia pewnych sfer społeczeństwa polskiego dla doniosłości kwestii narodowościowej w Polsce i konieczności jej pozytywnego rozwiązania w imię wzmocnienia spoistości wewnętrznej Rzeczypospolitej. Ich słabą stronę jest jednostronna przewaga momentów deklaratywnych, przy pominięciu konkretnego programu rozwiązania kwestii mniejszościowej. Okoliczność ta wypływa wszakże z charakteru pracy p. Bączkowskiego, poświęconej zagadnieniu *ukraińskiemu* — omówione wyżej poglądy autora są tylko tłem ideologicznym dla właściwego tematu.

*

Punktem wyjścia rozważań p. Bączkowskiego o kwestii ukraińskiej w Polsce są nie tyle założenia wewnętrzno - polityczne, ile pewne, miejscami nawet dość śmiałe, koncepcje polityki zagranicznej. Autor stara się nawet o uzasadnienie *historiozoficzne* swych koncepcji, głosząc: „Tragedie kurczenia się na Zachodzie musieliśmy zastąpić tragedią walki o wyrównanie na obcym i nieprzyjaznym wschodzie". Zachód jest silniejszy od Polski — toteż droga jej ekspansji może prowadzić tylko w kierunku chaotycznego i nieustabilizowanego Wschodu. „Nasze zwycięstwa na Zachodzie były w istocie refleksami pomyślności i pokoju na Wschodzie". Nad ideą *Piastów* autor przekłada myśl polityczną *Jagiellonów*.

Do tego Moskwa (każda Moskwa: sowiecka, carska czy demokratyczna) przedstawia wrogą siłę dla Polski. „Tak, jak Moskwa potomków Iwana Kality występowała wobec ucisku, „wiary greckiej posłuszeństwa wschodniego", tak samo dziś „Nowa" Moskwa występuje w obronie „uciśnionych" mas pragnących Zachodniej Białorusi i Ukrainy".

Otóż naturalnym sprzymierzeńcem Polski w odwiecznej walce z Moskwą mogą być Ukraińcy — nie należy ich tylko od Polski odpychać. Bo właśnie „Polityka polska odepchnęła Ruś od siebie" — w niej też tkwiło źródło buntu Chmielnickiego. A dążenia niepodległościowe Ukraińców, kolidujące na pewnych odcinkach terytorialnych ze stanem posiadania Państwa Polskiego? Na trudne to i ryzykowne pytanie autor stara się odpowiedzieć: „...broniąc naszego stanu posiadania na Kresach, reprezentujemy w Polsce myśl niepodległości ukraińskiej. Z dwojga złego: zaborczości ukraińskiej wobec „Ukrainy Zachodniej" i zaborczości Rosji wobec „Rosji Zachodniej" wybieramy zło mniejsze, które niejednokrotnie będzie naszym sojusznikiem".

Rozwijając tę myśl, autor formułuje *tezę niekolidowania* interesów polskich i ukraińskich. „Zasadnicze centra polskie znajdują się na *zachodzie*, centra ukraińskie na *południu i wschodzie*. Jeśli sobie wyobrazimy Ukrainę i Polskę w postaci dwóch kół, to wzajemne pokrywanie się ich płaszczyzn, wyobrażające sprzeczności interesów państwowych Polski i pomyślanej Ukrainy, będzie wyglądało w ten sposób, że koło ukraińskie pokryje koło polskie w części 1) nieznacznej i 2) nieistotnej". Dla Poski ważna jest jej granica *zachodnia*, dla Ukrainy — *wschodnia;* konsekwencją więc „będzie drugorzędny dla Polski i Ukrainy problemat obrony ich wspólnej granicy, biegnącej przez tereny małocenne". Tu źródło idei *sojuszu polsko-ukraińskiego*.

Ta szeroka koncepcja międzynarodowo-polityczna ma być źródłem i drogowskazem dla polityki polskiej w stousnku do mniejszości ukraińskiej w Polsce. *Chcielibyśmy więc wiedzieć, czy autor uzależnia nowy kurs wobec mniejszości ukraińskiej od realizacji wyżej nakreślonych koncepcji? — koncepcje te bowiem są i śmiałe i dalekie, a kwestia ukraińska w Polsce jest sprawą piekącą i czekającą na rychłe rozwiązania.* Autor żąda, by wśród społeczeństwa polskiego ugruntowała się „świadomość trwałości dążeń ukraińskich do istotnego zagwarantowania sobie swych potrzeb kulturalno- narodowych w Polsce".

Pozytywne ustosunkowanie się Państwa wobec ukraińskich potrzeb narodowych osłabi zarazem krańcowe ruchy ukraińskie w rodzaju O.U.N. „Pozostaje więc nam jedyna droga postępowania: odebranie ghettoistycznym tendencjom ukraińskim zasadniczej racji bytu przez wystąpienie państwa w roli generalnego źródła dosytu kulturalno _ narodowego i materialnego wszystkich obywateli narodowości ukraińskiej w Polsce".

Żądając ofiar od społeczeństwa polskiego w imię szeroko pojętego sojuszu polsko-ukraińskiego, autor żąda identycznych ofiar od narodu ukraińskiego, przypominając mu jego alternatywę: „Albo maksymalizm w Polsce i minimalizm w Rosji (uznanie zasad leninowskiej polityki narodowościowej), albo minimalizm w Polsce i maksymalizm wobec zagadnienia wyzwolenia 80% ziem. ukraińskich". Jeżeli społeczeństwo ukraińskie wybierze drugą alternatywę, wówczas terytoria ukraińskie Polski, byłyby odskocznią (Piemontem) dla polityki ukraińskiej, na terenie której ukraińska racja maksymalistyczna dyktowałaby politykę kompromisu i minimalizm.

Ostatnie wywody autora są o tyle aktualne, że właśnie w ciągu ostatnich dwóch lat mniejszość ukraińska z „Undem" na czele obrała taktykę „piemontyzmu", zamierając kompromis wyborczy z rządem i rozszerzając go na całokształt swej taktyki, podporządkowanej t. zw. polityce „normalizacji"

Nie jest naszym zadaniem w ramach recenzyjnego artykułu oceniać dotychczasowe rezultaty tej nowej taktyki politycznej sytuacji mniejszości ukraińskiej w Posce. W stosunku zaś do koncepcji zewnętrzno-politycznych autora chcielibyśmy raz jeszcze podnieść, że nie wierzymy w skuteczność i celowość rozwiązywania zagadnień mniejszościowych w drodze zbrojnych konfliktów międzynarodowych. Albowiem droga, która zaleca p. Bączkowski, musi nieuchronnie prowadzić do wojny i wszystkich, związanych z nią konsekwencji.

---

*) *Włodzimierz Bączkowski:* „U źródeł wielkości i upadku". Wydawnictwo Hoesicka. Str. 190.

Hurtownia rowerów, instrumentów muzycznych,
części rowerowych i przyborów radiowych

WEISS i S-ka
KRAKÓW, UL. MEISELSA L. 13
TELEFON Nr. 140-30

Roman Brandstaetter

Pięść obywatela Bonaparte'go*)

«Napoleon zachował się jak wariat»

W r. 1921, dnia 5 maja, w stuletnią rocznicę zgonu Cesarza Francuzów, na bankiecie u prezydenta republiki, wywiązała się następująca rozmowa pomiędzy Briandem a marszałkiem Fochem:

— Jak się panu zdaje, panie marszałku, czy wojna z Niemcami trwałaby cztery lata i trzy miesiące, gdyby naczelnym wodzem naszej armii był Napoleon? — spytał Briand.

Wówczas odrzekł Foch:

— Nie, panie ministrze, naczelny wódz Napoleon Bonaparte rozgromiłby Niemców, o wiele wcześniej. Ale znów wróciłby z armią do Paryża i byłby mocno nieprzyjemny dla pańskiego rządu. —

Historia nie przekazała nam niestety odpowiedzi. Ale sądzimy, że francuski minister zamilkł dyskretnie. Podobnie zresztą jak to uczynił przed półtora wiekiem rewolucyjny Dyrektoriat, gdy Napoleon po powrocie z dalekiego Egiptu przejeżdżał ulicami Paryża, owacyjnie witany przez tłum, manifestujący na jego cześć.

Pozostawmy zatem obecnie na boku dzieje bohaterskiej epopei Napoleona, rzućmy zasłonę na dzieje jego złotej legendy, która w huku armat i w błysku szabel przez długie lata olśniewała przerażoną Europę. Niechaj na chwilę utonie w milczeniu turkot napoleońskiej kwadrygi, pędzącej szosami kontynentu, zapomnijmy przez jedno mgnienie oka o tragedii rewolucji francuskiej, która pod ostrzem generalskiej szabli syna korsykańskiego niepodległościowca — szybko przeobraziła się w dekorację dla jego koronacyjnego orszaku. Obecnie zacieśnijmy problemat napoleoński jedynie do kilkumiesięcznego okresu jego dziejów, do tej właśnie chwili o której mówił marszałek Foch, zbitemu z tropu ministrowi Briandowi: do historii powrotu zwycięskiego Napoleona z Egiptu. Pomówmy trochę o owych dniach, gdy obywatel Bonaparte, ogłosiwszy dyktaturę, stał się tak bardzo nieprzyjemny dla panującego wówczas Dyrektoriatu. Napoleońska dyktatura! Ta dyktatura w zasadniczych swoich przejawach, formach, konturach i metodach skupiła w sobie najistotniejszy sens wszystkich późniejszych dyktatur europejskich aż do dzisiejszych czasów i służyła niewątpliwie przykładem niejednemu dyktatorowi, jak należy samowładztwo tworzyć, jak je utrwalać i rozbudowywać. Dyktatorskie metody Napoleona! Zogniskowała się w nich burzliwa, tyrańska bezkompromisowość ducha, katastrofalne upadki błądzącej jednostki, paradoksy tragicznego samowładztwa no i — łajdactwo kliki dyktatorskiej, jej brudy i jej cynizm. W tym zakresie poraz pierwszy w czasach nowożytnych wymościł Napoleon drogę dyktatorskiemu fachowi, stworzył nowoczesne pojęcie państwowego terroru, nadał mu formy pseudolegalne i zademonstrował jak należy państwo przykrawać na miarę — dyktatorskiej piersi. Te metody są — klasyczne. Te metody są — jedyne. Te metody są — najwspanialszym elementarzem dyktatorskich rządów. Te metody to — a. b. c. każdego szanującego się dyktatora.

Wczasie jednej z rozmów z Mussolinim, zagadnął go Emil Ludwig:

— Pan mówi o Napoleonie nieomal ze współczuciem, a więc czy respekt jaki Pan ma dla Napoleona nie zmniejszył się wcale przez cały czas pańskich rządów, kiedy to mógł pan podać kontroli swój stosunek do niego?

Na to odrzekł Mussolini:

— Zwiększył się jeszcze!

Rozumiemy. *Voila.*

Zatem powróćmy do Napoleona.

Zaczęło się od Saind Cloud, od osiemnastego Brumaire'a, od pochylonych do ataku bagnetów wiernych grenadierów, od likwidacji sprzedajnego Dyrektoriatu, składającego się z bezwolnych kukiełek — Gohiera, Moulin'a, Roger Ducos'a, oraz z dwóch ambitnych politykierów: Sieyes'a i Barras'a.

Stary Sieyes — ideolog burżuazji francuskiej, prawnik, flegmatyczny polityk, megaloman. Sieyes — głupi i krótkowzroczny karierowicz, kiepsko orientujący się w sytuacji, płytki doktryner i wytworny narcyz. A nadomiar złego — tchórz. Gdy terror szalał na ulicach Paryża, a na Placu Rewolucji kat garściami zgarniał do kosza ścięte głowy trybunów rewolucji, Sieyes ukrywał się po piwnicach i strychach francuskiej metropolii. Gdy potem już za czasów Pierwszego Konsula, złośliwy Fouché spytał Sieyes'a co robił on podczas krwawego thermidora, Sieyes odparł wstydliwie: „Pozostawałem przy życiu". Nic więc dziwnego, że naiwny członek Dyrektoriatu — w chwili, gdy obywatel-generał Napoleon Bonaparte, jak grom z jasnego nieba zwalił się z Egiptu do Paryża — był chyba jedynym człowiekiem w republikańskiej Francji, który sądził, że mały Korsykanin posłusznie odda się pod jego rozkazy.

Inny był Barras — obywatel Barras — były wicehrabia i oficer Jego Królewskiej Mości Ludwika XIV — członek Dyrektoriatu Barras, rozpustny lowelas, łapownik i intrygant, bezwzględny i mądry, zacięty wróg Bourbonów, odważny aż do szaleństwa, ryzykant i drań, aferzysta i spekulant z pod ciemnej gwiazdy. Barras — znienawidzony przez cały naród francuski, przez przedmieścia i robotników, przez jakobinów i rojalistów, był chyba jedynym z Dyrektoriatu, orientującym się doskonale w sytuacji, która zapanowała we Francji po powrocie do Paryża zwycięskiego generała. Wyczuł w nim niepospolity talent organizacyjny i nieokiełznaną ambicję. Bał się go i podziwiał. Barras więc pierwszy w całej Francji dyskretnie zaofiarował Napoleonowi swoje łaskawe usługi.

Więc jak już wszyscy pisaliśmy zaczęło się od Saint Cloud, pięknego zamku, położonego w kilkumetrowej odległości od Paryża nad Sekwaną, cienioną długimi rzędami wierzb. Ale myśl o zamachu stanu i zagarnięciu dla siebie całkowitej władzy, spoczywającej dotychczas w rękach przekupnego Dyrektoriatu, zakiełkowała po raz pierwszy w głowie Napoleona jeszcze w czasie kampanii włoskiej. Wówczas to Napoleon obserwując zdala, z perspektywy zwycięskich marszów przez italski półwysep, wśród niebezpieczeństw wojennej wyprawy, sybarytyzm i głupotę Dyrektoriatu okradającego bezwstydnie skarb państwa i łajdaczącego się in oculus „paryskich przedmieść" — po raz pierwszy zadał sobie dziwne, niepokojące, fantastyczne nieomal pytanie: Dla kogo walczę? Scenę tę w tych słowach opisuje prof. Tarlé: „...należy przypomnieć, że w czasie tej świetnej kampanii włoskiej, w czasie bezustannych porażek potężnej armii groźnej wówczas monarchii austriackiej, — młody generał spędził pewnego razu bezsenną noc i chodząc do świtu przed swym namiotem, po raz pierwszy zadał sobie pytanie, które nigdy przed tym nie przychodziło mu do głowy: „Czy zawsze będę zdobywać nowe kraje dla Dyrektoriatu, dla tych adwokatów?"

A kilka tygodni po tym, w imię tego samego Dyrektoriatu, który już niedługo drżeć będzie trwożnie przed grenadierami, wkraczającymi na salę obrad w Saint Cloud — Napoleon prowadząc pertraktacje pokojowe z wysłannikami cesarza austriackiego von Cobenzlem, zachowywał się tak, jakby Dyrektoriat paryski już w ogóle nie istniał, a on — Napoleon — był jedynym reprezentantem republikańskiej i zwycięskiej Francji, dyktującym warunki pokojowe. Co za ton pertraktacji! Co za pewność siebie — młodego generała! Czyżby Napoleon ten pokój zawierał już w imieniu własnym? „Monarchia pańska to stara prostytutka, która przyzwyczaiła się do tego, że ją wszyscy gwałcą!... Zapomina pan, że Francja zwyciężyła, a wy jesteście zwyciężeni, że pertraktuje pan ze mną, otoczony moimi grenadierami!" — wył Napoleon siny od gniewu. Rzucał się i pienił. Zbił z wściekłości porcelanowy serwis, podarowany Cobenzlowi przez cesarzową Katarzynę. Krzyczał i bił pięścią w stół. Przerażony Cobenzl, zbity z tropu, otumaniony, napisał do Wiednia: „Napoleon zachował się jak wariat". Któż jednak wie ile w tym gniewie było pozy i komedianctwa, a ile rzeczywistego oburzenia! Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że szczere było wynurzenie — o własnej sile i wierności na śmierć i życie oddanych grenadierów. Generał pokazał szpony. Poza, wiara w własną siłę i zaufanie do własnych żołnierzy towarzyszyły mu już przez całe życie. W tym drobnym ułamku czasu, w tej jednej scenie wyreżyserowanej z mistrzostwem przed przerażonym dyplomatą austriackim — objawił się Napoleon w całym swym majestacie i w całej zgrozie dyktatora umiejącego doskonale panować nad każdą sytuacją. „Napoleon zachował się jak wariat"? Głupi, głupi Cobenzl!

Tragikomedia legalności

Natychmiast po powrocie do Paryża, Napoleon zorientował się, że stan kraju dojrzał do — przewrotu: skompromitowany Dyrektoriat, demoralizacja życia publicznego, niezadowolenie przedmieść, no i entuzjazm narodu, witającego deszczem kwiatów generała powracającego z pod piramid. Został zatem ułożony plan przewrotu. Pierwsze uderzenie w Dyrektoriat, w ten upodlony Dyrektoriat, bez woli i inicjatywy, nie reprezentujący już żadnego autorytetu. Napoleon powoli, z namysłem obliczał każdy krok; czynił ostateczne przygotowania do 18 Brumaire'a i skonkretyzował motywy zamachu. Przede wszystkim nielegalny przewrót miał zostać dokonany za pomocą wszelkich pozorów legalności, w imię majestatu republikańskiego prawa, sponiewieranego przez Dyrektoriat. Ale Dyrektoriat jest władzą legalną! Zatem Napoleon wciąga do spisku dwóch członków Dyrektoriatu — Sieyes'a i Roger-Ducos'a, dwóch dalszych członków Gobles'a i Moulin'a fachowo steroryzował monsieur Fouché, a Barras... Barras czekał. Czekał. I łudził się stary łotr, że go Napoleon do siebie zawezwie.

Prócz tego ustalono, że zamach ma być hasłem do ogólnej sanacji stosunków panujących w kraju i musi być tym ideowym fundamentem, na którym nowy rząd zamierza budować cnotliwe i patriotyczne życie Francji. W tych kategoriach postać Napoleona, która w międzyczasie urosła już do rozmiarów ducha opiekuńczego praworządności, — obecnie stawała się reprezentantką wszystkich odłamów społeczeństwa łaknącego spokoju i równowagi socjalnej. Sanacja! Precz z prywatą! Precz z przekupstwem! Precz z demoralizacją! W Dyrektoriacie zasiadają złodzieje i łapownicy! I oto Napoleon , ten Napoleon, który przez całe swoje życie nigdy nie miał żadnych skrupułów moralnych, nagle odziewa się w togę bogobojnej cnoty i przed wyprężonymi na baczność batalionami, gotowymi do ataku na legalny rząd — krzyczy do przedstawiciela Dyrektoriatu, Bottota: „Coście uczynili z tej Francji, którą pozostawiłem wam w takiej świetności! Dałem wam pokój, a zastaję wojnę! Dałem zwycięstwa, a zastałem klęski! Dałem wam miliony włoskie, a zastaję nędzę i prawa rabunkowe. Coście zrobili ze stu tysiącami Francuzów, którzy byli towarzyszami mej sławy?! Nie żyją!!!"

Lecz zamach musi posiadać wszelkie pozory — legalności. Taki zamach — bez zamachu. Taki pucz dokonany w imię narodu dla narodu i z całym narodem przeciw garstce złodziei i sprzedawczyków. Taki niby przewrót, który powinien sprawiać wrażenie, że Zebrania Prawodawcze powołały Napoleona do władzy, a nie — że Napoleon deputowanych bagnetami steroryzował. Zresztą ówczesna elita narodu francuskiego — wojsko, weterani opaleni dymem armat, poorani ranami na przedpolach Tulonu, na żyznych nizinach Lombardii, te gwardie wiarusów — stały jak mur stalowy za Napoleonem, zwolna porastającym w pióra legendy. Barras kradł, a pieniądze rządowe puszczał z pulkami po paryskich knajpach! Napoleon zdobył Italię i Egipt dla rewolucyjnej Francji! Któż ośmieli się zaprzeczyć, że Napoleon bez woli narodu wtargnął na salę obrad w Saint Cloud? Zatem — zamach stanu. Więc naprzód — demonstracja oficerów i wyższych wojskowych przed domem Napoleona, a potem krótkie przemówienia przyszłego dyktatora zakończone słowami: „Trzeba ratować republikę!" Równocześnie wśród obradującej właśnie Rady Starszych agitują wysłannicy Napoleona, strasząc zebranych deputowanych rzekomym niebezpieczeństwem, grożącym republice ze strony — terorystów. Terorystów? Jakich terorystów? Nikt ich nie znał. Lecz przerażona i zdezorientowana Rada Starszych wydaje dekret, mocą którego posiedzenia Rady Pięciuset i Starszych zostają przeniesione „gwoli bezpieczeństwa" do Saint Cloud, a wykonanie dekretu powierza się obywatelowi- generałowi Napoleonowi Bonapartemu, który otrzymuje też naczelne dowództwo nad załogą paryską. Do Saint Cloud! Do maleńkiego miasteczka, położonego nad zielonym brzegiem Sekwany! Tam w zaciszu strzyżonych parków, wśród alei pełnych zieleni i klombów łatwiej jest przecież „legalnie" likwidować Dyrektoriat, niż na oczach ludu paryskiego urządzać igrzyska, które — mój Boże, któż to wie! — mogą ewentualnie zakończyć się krwawą masakrą zebranych ciał prawodawczych. Ale, pardon! Chodzi przecie o „legalność" zamachu! Więc czyż nie wygodniej zainscenizować „legalny" przewrót w podstołecznej, zacisznej mieścinie, zdala od buntowniczych „przedmieść paryskich"? Czyż nie łatwiej tam właśnie steroryzować zbyt opornych przeciwników, niż w centrum Paryża, wśród tłumu nerwowego ludu paryskiego, pod bokiem robotniczych mas? No, tak. W Saint Cloud, w listopadowy dzień, nawet najbardziej reakcyjne plany można realizować w myśl najświętszych zasad praworządności!

Tego samego jeszcze dnia generał Bonaparte krótko oświadczył oficerom, że stanął na czele garnizonu paryskiego i wydał rozkaz wojsku natychmiastowego wymarszu do Saint Cloud, celem towarzyszenia Ciałom Prawodawczym. Niby — zbrojna opieka! Czuła, miłosierna ochrona! Bataliony w pełnym uzbrojeniu polowym ruszyły brzegiem Sekwany. Wówczas Napoleon udał się do Tuilerii, gdzie na jego polecenie — na chwilę zebrały się Ciała Prawodawcze. Wszedł do pałacu w asyście oficerów i adiutantów. Zbrojnie. W bojowym rynsztunku. Przemówił do zebranych. Przemówienie było fatalnie złe. Ówcześni twierdzą jednomyślnie, że Napoleon mówił od rzeczy. Jąkał się. Wymachiwał nerwowo rękami. Zacinał się. Mowę zakończył pustym frazesem o tolerancji, wolności i równouprawnieniu. Potem opuścił salę i wyszedł na ulicę. Maszerujące wojsko prezentowało broń.

Po południu Talleyrand z polecenia Napoleona udał się do Barrasa i uprzejmie zaproponował mu, aby zechciał podać się do dymisji. Barras skwapliwie zgodził się i pod osłoną oddziału dragonów opuścił Paryż. Sieyes i Roger Ducos wsiedli do karety i udali się do Saint Cloud. Dwaj inni członkowie Dyrektoriatu, Gohiez i Moulin, skonstatowawszy z żalem upadek dotychczasowych władz — też udali się do Saint Cloud.

Dyrektoriat przestał istnieć. Legalnie. Bez rozlewu krwi. Bez przemocy. Nawet — ten Barras! Ten sprzedawczyk, ten złodziej mienia publicznego! Nawet on nie poszedł na szafot. Nikt. Wszystko odbyło się w myśl zasad — szlachetnej legalności.

W Saint Cloud jest pięknie. Latem mały pałac tonie w bujnej zieleni parków, opadających ku wodom Sekwany. Białe wieżyczki pałacu wystrzelają dumnie ponad ogromne świeczniki kasztanów. W gęstych gąszczach klaskają słowiki w porę księżycowych nocy, a marmurowe fontanny rozbrzmiewają srebrnym pluskiem spadającej wody. Lecz w chwili, gdy w listopadowe, słotne popołudnie, Napoleon w otwartym powozie, otoczony gwardią grenadierów zajechał na dziedziniec pałacu, Saint Cloud tonęło w gęstej, brudnej mgle jesiennej. Dokoła panowała wielka wrzawa. Pałac dotychczas obrośnięty gęstym mchem ciszy, rozbrzmiewał głośnym i gwarnym życiem. Na górnym piętrze obradowała Rada Starszych, na dolnym Rada Pięciuset. Przed pałacem Napoleon odbiera defiladę wojska i czeka na chwilę, gdy obradujące Ciała Prawodawcze polecą mu opracowanie nowej Konstytucji i — samorozwiążą się. Mijają niespokojne chwile. Sytuacja poczyna być groźna i obradujące Rady poczynają buntować się przeciw zakusom młodego generała. Padają okrzyki: Tyran! Despota! — Napoleon wchodzi na salę Rady Starszych i wygłasza znowu mętną, kiepską mowę, zakończoną niespodzianie komedianckim frazesem: „Nie jestem intrygantem! Jeżeli okażę się wiarołomcą, niech każdy z was stanie się Brutusem!" Brutusem? Brutusowie siedzieli właśnie w Radzie Pięciuset, na lewicy, — gromada Jakobinów, rozgoryczona ,zacięta, wściekła. Żądają wyjęcia Napoleona z pod prawa. Legalnie: gdy więc Napoleon otoczony garstką wiernych żołnierzy wchodzi na salę Rady Pięciuset, deputowani zrywają się z miejsc i — usiłują go pobić. Dzięki przytomności umysłu kilku grenadierów Napoleon uchodzi cało i — staje przed frontem wojska. Z góry zbiega Lucjan, brat Napoleona, przewodniczący Rady Pięciuset. Napoleon daje rozkaz opróżnienia sal. Bagnety pochylają się do ataku. Przeraźliwy werbel bębnów. Grenadierzy pod wodzą Murata ruszają naprzód i w przeciągu pięciu minut opróżniają salę. Deputowani uciekają oknami na dziedziniec. Grenadierzy chwytają uciekających i — siłą wprowadzają z powrotem do sali. Przerażeni, drżący z zimna deputowani, rozpoczynają od nowa posiedzenie i posłusznie uchwalają dekret o rozwiązaniu Rady i ustanowieniu Konsulatu. Tego samego dnia późnym wieczorem Rada Starszych w jednej z małych sal zamku ogłasza wśród śmiertelnej ciszy dekret o powierzeniu władzy trzem Konsulom: Bonapartemu, Sieyes'owi i Roger Ducos'owi. Legalnie. „Zamianowanie trzech osób — pisze prof. Tarlé — było życzeniem samego Napoleona. Nie chciał jeszcze brać na siebie całej odpowiedzialności, choć już postanowił, że faktycznie będzie to już jego dyktatura; że żaden z dwóch pozostałych konsulów nie odegra najmniejszej roli w życiu publicznym Francji. Prostoduszny Roger Ducos już zdaje sobie z tego sprawę; zaś mędrkujący zawsze Sieyes się tego nie domyśla, lecz wkrótce i on straci złudzenia... O godzinie drugiej w nocy trzej konsulowie złożyli przysięgę na wierność republice. Nad ranem Napoleon opuścił Saint Cloud i wyjechał do Paryża."

Pierwszym człowiekiem, którego przyjął tego dnia na audiencji Pierwszy Konsul Napoleon Bonaparte — był szpicel Fouché.

Szpicel Fouche uśmiecha się

Dyktatura poczęła systematycznie opanowywać wszystkie dziedziny życia francuskiego, kierowana niezawodną i wprawną dłonią Bonaparte'go, doskonałego organizatora i administratora, rychło wycisnęła swe specyficzne piętno na społeczeństwie, które od tej chwili szło posłusznie na pasku napoleońskich ambicji i niepospolitych koncepcyj małego Korsykanina. System jego polegał przede wszystkim na utrwaleniu władzy dyktatorskiej. Bez śladu więc rozpłynęła się legenda o wolności, liberaliźmie i równouprawnieniu; pod uderzeniem napoleońskiej pięści w pył rozsypały się hasła braterstwa i równości; siła władzy scentralizowanej w rękach Napoleona, dzięki swemu autorytetowi przeniknęła do wszystkich komórek życia publicznego, zmieniając od podstaw cały ustrój społeczny i administracyjny. Ustrój! Należało go przykroić na napoleońską miarę, jak mundur przymierzyć do jego postaci, stworzyć nowe prawa dające dyktatorowi pełnię nieograniczonej władzy, związać ręce czynnikom prawodawczym i scentralizować ideał wodzostwa w jednej osobie. Cała władza wykonawcza dla dyktatora, nieskrępowanego żadnymi węzłami ciasnych praw! W prawodastwo wtłoczyć splendor napoleońskiej legendy, prawodastwo przepalić ogniem jego sławy, w prawodastwie pomieścić jego wszystkie ambicje, hasła, idee i zamiary! Cały ciężar napoleońskiej chwały złożyć na kark uległego prawa! I tak sformułować ustawy, aby Pierwszy Konsul mógł w nich odnaleźć największą kompetencję i najbardziej aktywne możliwości rządzenia. Więc na pierwszy ogień poszła — Konstytucja. Ta zdeptana, sponiewierana Konstytucja, pokłuta bagnetami konsularnych gwardii, ten bezmyślny galimatias praw, jak kaftan bezpieczeństwa narzucony na barki Dyrektoriatu! Kostytucja — te strzępy ustaw, nic już dziś nie znaczących, a będących jedynie smutną karykaturą nie istniejącej już dziś wolności i nie istniejącego już więcej równouprawnienia!

Opracowanie projektu nowej Konstytucji powierzył Bonaparte Sieyes'owi; on to miał na jej paragrafach porozwieszać sztandary napoleońskiej epopei. „Piszcie Konstytucję krótko i niewyraźnie" — powiedział złośliwie Bonaparte do Sieyes'a, w ten lakoniczny sposób dając mu do zrozumienia na czym winien polegać sens przyszłej księgi Praw. Lecz Sieyes źle się wywiązał ze swego ciężkiego zadania; za bardzo ciasne prerogatywy ofiarował Pierwszemu Konsulowi. Napolen ostro zbeształ swego niefortunnego współpracownika i — „już w miesiąc po przewrocie projekt nowej Konstytucji był gotów. Na czele republiki stoi trzech Konsulów. Cała władza przelana jest na pierwszego, dwaj pozostali mają tylko głos doradczy. Pierwszym Konsulem zostaje, oczywiście, Napoleon Bonaparte. Ujmuje w swe ręce ster rządów. Wszystkie instytucje państwowe ślepo spełniają jego wolę. Sieyes w pierwszej chwili poczuł się dotknięty. Lecz Napoleon wynagrodził go sowicie, po czym raz na zawsze odsunął od czynnego udziału w życiu politycznym. Potrzebni mu bowiem byli ulegli wykonawcy jego rozkazów, a nie prawodawcy lub doradcy."

„Konstytucja VIII roku Republiki" rzuciła Francję do stóp Napoleona.

Obecnie przyszła kolej na — wolność prasy. Napoleon postanowił pozbyć się niepotrzebnej krytyki i zakneblować niezależną opinię społeczeństwa. Wypalić bezlitośnie żywym ogniem dekretów — wolność prasy! Zglajchschaltować dziennikarzy, którzy posiadają jeszcze tę czelność, że w swych artykułach krytykują posunięcia rządu i ośmielają się wyrażać swoje opinie na temat metod rządzenia Pierwszego Konsula! Dzienniki poszły pod gilotynę — cenzorskiego pióra. Szalał teror prasowy. Władze rządowe zgniatały bezapelacyjnie wszelkie próby krytyki; konfiskaty niszczyły ogromne nakłady pism francuskich, które zwolna chyliły się ku upadkowi. Wreszcie gdy i te metody nie skutkowały, gdyż mimo terroru, pod różnymi, niekiedy odległymi aluzjami przekradały się do pism artykuły krytyczne i wiadomości, rzekomo podważające autorytet rządu — Napoleon postanowił uciec się do bardziej radykalnych środków. 27 nivrôse'a ogłosił Pierwszy Konsul dekret mocą którego z 73 istniejących pism zostało 60 zamkniętych. Nie długo potem ukazał się drugi dekret. Znowu 10 pism zostało zamkniętych. Pozostały trzy pisma, trzy zakneblowane, posłuszne pisma, trzy kamerdynerskie pisemka, lokajskie, służące wiernie na dwóch łapach napoleońskiemu reżymowi. We Francji przestała istnieć wolność słowa.

A teraz — policja. Organizacja policji zaprzątała specjalnie uwagę Pierwszego Konsula, który rychło zamienił Francję w państwo donosicieli, szpiclów i prowokatorów. W Paryżu szalała epidemia denuncjacyj; po kawiarniach, teatrach, lokalach publicznych, na ulicach, placach i bulwarach uwijała się doskonale zorganizowana armia tajniaków, baczna i wszechwiedząca, czujna i wiecznie czuwająca. W paryskiej prefekturze wprowadzono po raz pierwszy — kartoteki obywateli. O organizacji machiny policyjnej tak pisze prof. Tarlé: „prefekt policji paryskiej, aczkolwiek podwładny ministra policji, otrzymał specjalne: uprawnienia, między innymi osobiście składał raporty Pierwszemu Konsulowi. Jasnym było, że w osobie paryskiego prefekta policji pragnął on mieć kontrolujący organ informacyjny, któryby czuwał nad czynnościami samego — zbyt potężnego — ministra policji. Napoleon stworzył dwie a nawet trzy policje, które miały nie tylko czuwać nad lojalnością obywateli, lecz jeszcze miały się wzajemnie śledzić. Na czele ministerstwa policji postawił Fouche'go, zręcznego szpiega, mądrego prowokatora, sprytnego intryganta — słowem, pierwszorzędnego fachowca w sprawach wywiadu. Lecz Napoleon znał się na ludziach i wiedział, że Fouché za odpowiednią sumę sprzeda nie tylko jego, lecz rodzonego ojca; zatem Napoleon dla zabezpieczenia się i z tej strony, przyjął zaufanych ajentów, którym wyznaczył szczupły zakres działania: szpiegowanie samego Fouché'go. Chcąc zaś zapobiec możliwości przekupienia przez Fouché'go nawet tych zaufanych, utrzymuje jeszcze trzecią serię ajentów, — takich, którzy znów śledzili szpiegów, szpiegujących Fouché'go". Mało tego! Celem usprawnienia szybkiego wymiaru sprawiedliwości, Napoleon — po nieudałym zamachu na jego osobę — tworzy obozy kon-

(dokończenie na str. 8.)

*) Prof. Eugeniusz Tarlé: Napoleon. Wydawnictwo Współczesne, Warszawa, 1937.

Dr. I. Schiper

Don-Kichot żydowski i Hocmach

(Uwagi na marginesie wystawionych obecnie w teatrze „Młoda scena" i „Teatrze dla młodzieży" komedji Mendełego i Goldfadena-Mangera).

1.

Wszystkie znaki ziemskie i „niebieskie" przemawiają za tym, że sztukom, wystawianym obecnie na dwóch żydowskich scenach w Warszawie więcej uśmiechnie się szczęścia, aniżeli niedawno zgasłemu teatrowi, zorganizowanemu przez nieuleczalnego marzyciela Zygmunta Turkowa.

Teatr eksperymentalny „Młoda scena" po dłuższej tułaczce na prowincji ruszył na nowy „podbój" żydowskiej Warszawy. Doczepił się do muzealnego już „rydwanu" Mendełego Mocher Sforim, wyciągnął z lamusa literatury żydowskiej nieśmiertelnego Beniamina z Tuniejadówki i zaczęły ze sceny przemawiać dawno — zdawałoby się — zblakłe postacie z przed około 60-ciu laty...

Podobnie nawiązał młodziuteńki, dopiero co stworzony „Teatr dla młodzieży" do autora i sztuki z przed sześciu dziesięcioleci, odświeżając motywy i postacie z jakże sędziwego teatru Golfadena.

Na „młodej scenie" — Beniamin-Don Kichot Mendelego, w „teatrze dla młodych" — czarodziejka i Hocmach Goldfadena! Tam „wesoła epopea" smutnego i rozmarzonego Beniamina, tu sentymentalna i łzawa komedio-operetka z nieszczęsnym Hocmachem jako głównym bohaterem. Skok w przeszłość — zdawałoby sie — dawno już pogrzebaną a jednak jakże aktualną — okazało się — wydobyto z tej przeszłości tematykę, jak bardzo są nam jeszcze bliscy i te Beniaminy i te Hocmachy... Wystarczy rzucić okiem na „publiczkę" podczas przedstawień i stwierdzić żywe jej reakcje na to, co się dzieje na scenie, aby się upewnić, że te Beniaminy i Hocmachy nie tylko nie nudzą, ale wręcz porywają.

I zachodzisz, człeku, w głowę: skąd, do licha, to współdrganie, ta komitywa wewnętrzna, ten absolutny brak dystansu? Skąd ta intymna atmosfera, jak to niegdyś bywało w teatrze „maluczkich" i dla „maluczkich", w teatrze bł. pamięci igrców purimowych, śpiewaków brodzkich" i kampanji wędrownych Goldfadena? Wydaje się chwilami, jakby poszło w zapomnienie wszystko, co zdziałali dla sceny żydowskiej i literatury nowatorzy w rodzaju Pereca, Hirszbajna, Asza, Lejwika, An-skiego i t. d. i t. d. całą tą bogatą „nadbudowę" z zawiłymi problematykami jakby djabli wzięli. Znów jesteśmy tam, gdzie się współczesna literatura żydowska zaczęła: u „dziadka" Mendełego i u papy Goldfadena! I co ciekawsze: czujemy się nie gorzej, ba nawet zdajemy sobie sprawę, że to „res nostra agitur", że to nasza najaktualniejsza rzeczywistość hasa po scenie, że to my sami śmiejemy się przez łzy i sny wysnuwamy z doczesnej naszej biedy. Myślałby kto, że 60 z górą lat to jednak — jak na czasy radia, samolotów i ustawicznych zaburzeń polityczno-społecznych — okres dostateczny, aby się z gruntu zmieniła nasza najistotniejsza problematyka. A tymczasem — sędziwi Mendełe i Goldfaden przemawiają do nas słowy z przed 60-ciu lat tak świeżo, tak aktualnie, jakby się całe nasze życie roiło od Beniaminów-Don Kichotów i Hocmachów...

2.

Warto przeto pogłowić się: skąd ta nieśmiertelność albo przynajmniej długowieczność Beniaminów — Hocmachów?

Zarówno Beniamin, jak i Hocmach pochodzą z symbolicznej „Tuniejadówki", gdzie ludziska nigdy nie jedzą do syta a bieda świszczy z wszystkich kątów. Czyżby więc zaktualizowała się ich po 60-ciu latach ta ciągle jeszcze istniejąca a nawet rozrastająca się „Tuniejadówka" żydowska? Ileż to już mieliśmy widowisk, ile powieści i wierszy na temat „Tuniejadówki" a jednak przeminęła cała ta literatura, tworzona przez Reisenów, Rozenfeldów, Weissenbergów i ich epigonów. Przeminęła i nieodwołalnie należy do historji.

Skąd się bierze, że jedynie bohater z „Tuniejadówki" w rodzaju Beniamina i Hocmacha przetrwali i długo, długo jeszcze trwać będą? Sądzimy, że nie decyduje w ich losu kolejach „Tuniejadówka", ta dosłowna „Tuniejadówka" z bezmiarem nędzy, a coś innego. „Tuniejadówka" może zniknąć i zniknie kiedyś niewątpliwie, lecz Beniaminy i Hocmachy przeżyją ją, przetrwają. Beniaminy i Hocmachy to jakby symbole naszej najgłębszej rzeczywistości, która, jaką była przed tysiącleciem, taką pozostanie po dziś dzień. W Beniaminach i Hocmachach żyje Wschód, „wschodni" światopogląd, jakże odmienny od „zachodniego". Człowiek Zachodu organizuje życie, walczy w nieprzekraczalnych granicach rzęczywistości, Beniaminy natomiast i Hocmachy pogłębiają życie i wzlatują na skrzydłach wiary w nadrzeczywistne krainy snu. W Beniaminach i Hocmachach tkwi pęd ku życiu o bezkresnym horyzoncie, o nieprzejrzanych możliwościach i co ważniejsze, wierzą oni, że potrafią wznieść się ponad własną ziemską nicość i urzeczywistnić to śnione życie, nie ogrodzone ani czasem, ani przestrzenią, ani prawami grawitacji... Beniaminy i Hocmachy roszerzają granice swego ziemskiego, doczesnego bytowania i stwarzają sobie byt nadrzeczywisty, pełen przygód i uniesień, który jest dla nich bodaj czy nie bardziej rzeczywisty niż to, co my rzeczywistością nazywamy. Zachodniemu „non plus ultra" przeciwstawiają oni „plus ultra!' — dalej poza (granice rzeczywistości)!, dążą wzwyż, uniesieni na skrzydłach wyobraźni i marzenia. Beniaminowi śnią się Jeruzalem i mesjaszowe czasy, Hocmach wsłuchany jest w „cudowną melodję", która potrafi przemienić smutek w radość, biedę w dostatek... Z tymi snami i „cudownymi melodiami" w duszach odrywają się od „Tuniejadówki" i puszczają się w drogę ku celom, które im wytyczone zostały przez sny — „melodie". Zatraca się w nich granica między tym, co jest, a tym, co być winno. Ziemia i niebo splotły się ze sobą, sen stał się życiem a życie — snem. Oto, co im daje bogactwo życiowe przy całej ich biedzie doczesnej... Oto ich pokrewieństwo z nieśmiertelnym Don Kichotem, który jest w gruncie rzeczy więcej człowiekiem Wschodu, niż Zachodu. Oto ich wspólna z Don Kichotem ojczyzna: Krainy baśniowe z „Tysiąca i jednej nocy"!

3.

Teraz już rozumiemy, dlaczego nam i całej „publiczce" tak dobrze było na duszy, gdy się przed naszymi oczami rozsnuły „wesołe epopee" Beniamina i Hocmacha. Czyliż nie kroczymy, podobnie jak Beniaminy i Hocmachy, przez mroczne zaułki życia, zasłuchani w jakieś cudowne melodie, które nas niosą ku śnionym Jerozolimom narodowym i społecznym, hen daleko od Tuniejadówek?...

Nie dziwić się więc, że serce nam silniej zabiło, gdyśmy się w tych zaułkach naszych spotkali ze znajomymi z lat młodości, z Hocmachem, goniącym na drewnianej Rosynancie do Stambułu i z przesławnym podróżnikiem Beniaminem, wędrującym w towarzystwie Senderla — Sancho-Pansy do nieistniejącego kraju „czerwonych Żydków" po drugiej stronie nieistniejącej rzeki Sambation...

4.

Kilka uwag jeszcze o przedstawieniach.

W „Teatrze dla młodzieży" dana sztukę Goldfadena w świetnej przeróbce poety I. Mangera. Zachowano tytuł sztuki „Czarodziejka", lecz po-prawdzie była to sztuka, którejby bardziej odpowiadał tytuł „Hocmachspiel".

Mangier, wiedziony wspaniałą intuicją, uczynił z Hocmacha, który jest u Goldfadena postacią epizodyczną, głównego bohatera i dodał mu do boku dwóch wykapanych braci duchowych — Hocmachów, co wprawdzie w niektórych scenach wypada bardzo efektownie, lecz nie wiąże się organicznie z całością. Tak samo nie klei się z całością rozwiązanie zagadnienia Hocmacha względnie Hocmachów. Hocmachowie są „niepoprawnymi" marzycielami — Don Kichotami i czemuż akuratnie mieliby sobie pod koniec uświadomić, że „cudowna melodia", która ojcu oddała córkę i zmieniła smutek w radość, że melodja ta, która dźwięczała głównemu Hocmachowi w uszach podczas jego fantastycznych wedrówek do Stambułu, nie przyniesie im — Hocmachom szczęścia? Poco ta zapowiedź, że Hocmachowie pójdą ponownie w świat po nową melodię? To są niedociągnięcia, które chyba należy położyć na karb zbyt pospiesznego opracowania motywu goldfadenowskiego, bez należytego przemyślenia zagadnienia. Brak ten wynagrodził nam Manger przepysznymi kupletami i kilkoma kapitalnymi scenami (np. sny Hocmacha a zwłaszcza spotkanie z uszczęśliwionymi córkami), które porywają swą mocą poetycką.

O oprawie muzycznej, którą dał utalentowany i niezmordowany Henoch Kon, możemy się tylko „niefachowo" wyrazić, że posiada ona słodycz melodyki ludowej i znakomicie jest dostrojona do utworu Goldfadena-Mangera.

Prawdziwą rozkoszą dla oka są stworzone przez J. Kosińskiego dekoracje i i kostiumy. Dawno już nie widziano w teatrze żydowskim podobnych wyczynów artystycznych.

Reżyseria J. Rotbauma godna uznania: sceny zbiorowe pełne dynamiki, umiejętne pokierowanie grą poszczególnych artystów, znakomite rozplanowanie świateł i cieni.

Z artystek i artystów na pierwszy plan wysunęły się: panie Dina Halpern, Klara Segałowicz i Fela Garbarz oraz pp. M. Bożyk, Sz. Kutner i S. Bronecki. Takim koncertem gry artystycznej nie powstydziłaby się największa scena europejska.

5.

Przedstawienie w teatrze eksperymentalnym „Młoda scena" widzieliśmy tydzień przed oficjalną premierą „prasową". Prawdopodobnie usunięte już zostały pewne rażące usterki, które są wytłumaczalne w okresie „przed - premierowym".

W opracowaniu scenicznym powieści Mendełego (znanej w tłóm. polskim Kl. Junoszy p. t. „Don Kichot żydowski"), które dali J. Dobruszyn i M. Brandt, najbardziej razi wprowadzenie na scenę autora „epopei" i to w roli rezonera-konferensjera. Gdyby przynajmniej te rezonerki miały jakiś związek ze sztuką! Tymczasem nie tylko nie mają, ale treścią swą wręcz kłócą się z fizjognomią pisarską Mendełego. „Dziadek" literatury żydowskiej wygląda w świetle, w jakim go ukazują Dobruszyn i Brandt, jak staroświecki badchen-marszalik, prawiący na weseliskach żydowskich pobożne morały. Raz nawet zamienia się w jakiegoś małomiasteczkowego kantora-chazena i wygłasza modlitwę, jakby wypożyczoną u nabożnej Ryfki z Tykocina, matrony z 17 wieku... Spacza to do gruntu ustalone pojęcie o „dziadku", który był nowatorem i swą działalnością przekreślił dawne wzory literackie, stwarzając w miejsce badchańsko-nabożnej literatury literaturę świecką w duchu radykalnej społecznie haskali.

Muzyka, ułożona przez Leona Pulwera, jest banalną za wyjątkiem może kupletu, w kapitalnej scenie, przedstawiającej łaźnię żydowską.

Nie wystarczy oprzeć się o melodykę ludową, trzeba ją umieć należycie opracować! Dość porównać oprawę muzyczną, daną przez H. Kona omówionej poprzednio „Czarodziejce", z „muzyczką" Pulwera, aby się przekonać o partactwie pulwerowskim.

Reżyseria M. Brandta, której zawdzięczamy tyle znakomitych widowisk, tym razem zawiodła. Brandt zaryzykował technikę filmową, przy niej jednak zatracają się wszystkie słowa Mendełego.

Sceny pędzą jedna za drugą, aż tchu brak i wytchnienia na przetrawienie jakże pysznych dialogów, które prowadzą bohaterzy Mendełego.

Dekoracje i kostjumy są naogół niechlujne. Trzeba się zdecydować: albo tak, albo siak! Albo utrzymuje się wszystko w stylu naturalistycznym, albo daje się same tylko skróty ekspresjonistyczne. Tymczasem to, co widzieliśmy, to jakiś galimatias naturalizmu i ekspresji.

Z eksperymentującej młodzi aktorskiej najdzielniej „trzymają się" Józef Glikson w roli Beniamina — Don Kichota i Nusen Wulfen w roli Senderla — Sancho Pansy. Jest to pierwszorzędny narybek aktorski! To samo dotyczy także b. inteligentnego Pinkusa Zygielbauma, któremu powierzono rolę Mendełego.

Leon Baumberg

W młodych oczach Hansina

(Powieść o martyrologii młodzieży żydowskiej)

Młody poeta żydowski Jehuda Lis był dotąd mało znany szerokiej rzeszy czytającej publiczności. Od czasu do czasu ukazywały się w najrozmaitszych czasopismach jego wiersze, w tonie — raczej skromne i bezpretensjonalne, przepojone subtelną melancholią i cichym liryzmem. Zastanawiały często swą głębią i uderzały czytelnika wyjątkowym urokiem i niezaprzeczonymi walorami poetyckimi. Lecz nikt nie spodziewał się przecież po młodym poecie, a najmniej ci, którzy dokładnie znali kierunek jego twórczości i dotychczasowy dorobek literacki, że na warsztacie jego rośnie od dłuższego czasu — powieść,, i że stanie się ona niebawem prawdziwym wydarzeniem w żydowskim życiu literackim. Albowiem debiut powieściowy Lisa „Pamiętnik Jeremiasza Hansina" zasługuje pod każdym względem na specjalne wyróżnienie i powiedzmy to od razu — jest ewenementem w naszej młodej prozie żydowskiej.

Powieść ta, obrazująca zmagania i walki młodego pokolenia o prawo do życia i nauki, jest żywym, aktualnym wycinkiem naszych dziejów, jest próbą odtworzenia w całej rozciągłości tragedii pokolenia, które ginie na naszych oczach w straszliwej wegetacji, któremu odebrano i odcięto wszelkie drogi do rozwoju i dalszej egzystencji.

Jehuda Lis, analizując przemiany duchowe bohatera „Pamiętników", notuje z niezwykłym objektywizmem zewnętrzne przyczyny owych przemian, wnika w ich istoty skalpelem chłodnej, beznamiętnej obserwacji, ukazuje przy tym zawiły splot zagadnień społecznych i narodowych, ich natężenie w Polsce i Niemczech, dokąd po długich perypetiach wyjeżdża bohater jego powieści — Hansin na studia (oczywiście w okresie jeszcze przedhitlerowskim) oraz z dużym znastwem psychologicznym odtwarza nastrój wśród młodzieży studiującej, maluje charaktery i przeciwstawia poglądy. Tło powieści, na które rzucone są dzieje samotnego Hansina ustawicznie się rozszerza: z małego miasteczka Stawy przenosi nas autor do dużego „gimnazjalnego miasta", od którego prowadzi już prosta droga na uniwersytet berliński.

„Także w piętnastym roku życia, pozbawiony byłem chleba" — tym prostym i wstrząsającym zdaniem rozpoczyna swe pamiętniki Jeremiasz Hansin. Następuje okres terminowania u krawca i pierwsze głębokie odczucie nędzy ludzkiej. Hansin nie ma ojca ani matki. Mała, uboga izdebka, — gdzie życie upływało w anemicznym stuku maszyny krawieckiej — stała się jego drugim domem. Śmierć Jankiela położyła kres „karierze" krawieckiej Hansina. Jankiel umierał poprostu, zwyczajnie, po krawiecku:

„Kiedyś o zmierzchu, gdy jego niebieskie, dziecinne oczy łagodnie zapatrzyły się w otwarte okno i sięgnęły tam, gdzie horyzonty konają z tęsknoty, nagle zbladł, potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: tak, i padł zesztywniały na ziemię. Światło w oczach zagasło i tylko słodkie cierpienie zaczaiło się w kącikach ust. Anioł śmierci miał widać łatwą robotę z wygłodniałym Jankielem".

Rzecz charakterystyczna: styl Lisa jest tak niesłychanie spokojny i prosty — nawet w chwilach najbardziej wstrząsających — że częstokroć ulegamy wrażeniu, jakoby biła z opisywanych przez autora wypadków wyraźna nuta ironii, oddalająca pisarza od tworu odpisywanego i stwarzająca przecież ów konieczny dystans między twórcą a dziełem. Jest to niewątpliwie ironia, wyrosła z bolesnego doświadczenia, z uświadomienia sobie całej grozy i karykaturalności bytowania proletariatu żydowskiego w dalekich mieścinach polskiej prowincji.

Spokojny i zrównoważony styl Lisa tłumaczy nam również najbardziej abstrakcyjne, metafizyczne przeżycia w sposób prosty i zrozumiały.

Hansin „obejmuje stanowisko" subszamesa w bet-hamidraszu. Wstaje więc rano skoro świt, sprząta, drzewo nosi, pali w piecu. Żydzi z miasteczka, którzy z tałesami przychodzą tutaj w pośpiechu odmówić ranną modlitwę — są mu zupełnie obcy. Obcy dla niego jest również ich Bóg, do którego się modlą krzykliwie i gniewnie. „Ich Bóg wydawał mi się podobny do Menachema Ajzenberga, do tego czterokańczastego i szerokokostnego Żyda, stojącego zawsze przy honorowej, wschodniej ścianie bet-hamidraszu, do tego bogatego kupca zbożowego, który wykłócał się ze wszystkimi i był ciągle gniewny i nasrożony. Mój Bóg wydawał mi się inny, zupełnie inny: niski i zwykły sobie, jak jeden z owych rzemieślników, kryjących się za piecem. Do niego mogłem mówić cicho i spokojnie, starczyło parę skromnych słów mojej zwykłej, codziennej mowy. Mój Bóg był z natury dobry, ale zdaje się — tak samo biedny, jak mój ojciec, którego pamiętam z bardzo wczesnej młodości i tak samo nieszczęśliwy, jak krawiec Jankiel. Wierzyłem, że Bóg mnie rozumie, że wraz ze mną znosi biedę i samotność, że głoduje tak samo jak ja".

Hansin napotkał na drodze swego życia — Kałmanowicza, studenta z Paryża, który przerwał studia z powodów materialnych i osiadł jako korepetytor w Stawach. Kałmanowicz — to jeden z tych nieuleczalnych marzycieli, którzy wierzą w cudowne odrodzenie instynktów ludzkich za pomocą nauki i oświecenia, którzy idą w lud z „kagańcem oświaty". Kałmanowicz udzielał często bezpłatnie nauki ubogim dzieciom, zarówno Żydom jak i Polakom. Hansina wciągnął w krąg swoich zainteresowań kulturalnych i przygotował go do czwartej gimnazjalnej. W obliczu aktów gwałtu i nienawiści, jakie w stosunku do ludności żydowskiej rozgrywają się na rynku w Stawach — zdobywa się Kałmanowicz na pobłażliwy, wyrozumiały uśmiech i rzuca wszystko na karb nieuświadomienia i ciemnoty. Ale Jeremiasz Hansin rozumie głębiej istotę tych starć i konfliktów. Tam — „na chrześcijańskiej ulicy" — rozwija się potężna kooperatywa, a biedne sklepiki żydowskie i stragany likwidują się coraz częściej, z coraz bardziej nieubłaganą regularnością. Zresztą na długo przed tymi wyraźnymi objawami tragicznej pauperyzacji mas żydowskich, Hansin czuł zbliżającą się falę nienawiści. Jako chłopczyk bowiem siedmioletni wyszedł kiedyś w porze wiosennej za miasto, by zaczerpnąć powietrza, by ogarnąć młodymi oczyma szerokie pola, pokrywające się wczesną, wiotką zielenią. Nagle — poczuł tępy ból. Dotknął czoła: spływała wąskim pasmem ciepła krew. A zdala szczerzył do niego zęby wiejski chłopak i śmiejąc się zawołał: „wszystkie dzieci żydowskie z kamyczkami w głowach...".

Ta krew na czole wytłumaczyła później Hansinowi niejedno w życiu i raz na zawsze oddzieliła przepaścią nie do przebycia jego świat od świata z „ulicy Ogrodowej", gdzie wznosiła się symboliczna kooperatywa. Wobec tej młodej, ciepłej krwi zblednąć musiał dobrotliwy i optymistyczny uśmiech studenta paryskiego, wierzącego niezłomnie i naiwnie w zwycięstwo sprawiedliwości dziejowej.

Hansin uczęszcza do gimnazjum. W jego życie trudne i bolesne wkrada się promień słoneczny — uśmiech uroczej Lili, dla której jednak Hansin jest tylko śmiesznie ubranym, prowincjonalnym chłopcem, niezgrabnym w obejściu i mało dla dam uprzejmym. Córka zamożnej rodziny przemysłowej Lili — ma innych znajomych. Jej koledzy — chrześcijanie, mają bardzo dużo wdzięku, są zgrabni, wysportowani i wytworni. Hansin jest w towarzystwie Lili zaledwie tolerowany. Ale stalowy błysk, jaki zapalił się w szarych oczach jej przyjaciela - adoratora, gdy mowa była przypadkowo o Żydach, zbliżył ją nieuchronnie do Hansina. Najbardziej intymne odruchy serca objawiają się często w jednym spojrzeniu. Lili przestraszyła się tego wzroku. Poczuła się nagle bardzo blisko Hansina.

Jedyny ten motyw miłości, wplątany w szare dzieje Hansina, ujęty został przez autora niezwykle subtelnie, z umiarem i wyrozumiałością. Dzięki naturalnemu i szczeremu podejściu do problematu miłości i zagadnień płci, udało się autorowi szczęśliwie uniknąć konwencjonalnych zazwyczaj scen miłosnych i zbytniej w takich wypadkach egzaltacji.

A potem nastąpił egzamin maturalny i wyjazd Hansina do stolicy Niemiec. Lili uciekła od swoich wielbicieli i poszła na dworzec pożegnać Hansina. Lili jest do głębi wzruszona. Pociąg rusza, a ona bezwiednie, mechanicznie pędzi za wagonami i nie chce Hansina stracić z oczu. Śmiesznego Hansina w przydługim surducie i w koślawych, wykrzywionych butach.

W Berlinie jest Hansin świadkiem narastania hitleryzmu. Nikt nie wierzy w jego zwycięstwo. W mansardach studenckich toczą się długie, do białego rana gorące dysputy. Wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że „coś" wisi w powietrzu. Już dzisiaj wyrzucono z uniwersytetu kilku Żydów, już profesora-Żyda obrzuciła grupa hitlerowskich studentów zgniłymi jajami. To pierwsze symptomy nadciągającej burzy. Dziś wszelkie barbarzyństwa wychodzą właśnie z laboratoriów uniwersyteckich i sal wykładowych. Postać Kałmanowicza staje się wobec tych oczywistych faktów mikroskopijnie mała. Coraz częściej natomiast przypominają się Hansinowi puste sklepiki w Stawach, niesamowity i upiorny lęk, wyzierający z mieszkań i izb żydowskich oraz staje przed oczyma wielka i groźna kooperatywa na ulicy Ogrodowej. Coraz częściej nasuwają się wspomnienia, nigdy nie zapomniane: wiosenny, majowy dzień, szeroka przestrzeń pól, płowy, wiejski chłopak i — krew.

Książka Lisa nie jest zakończona żadną wyraźną pointą. Albowiem dramat młodzieży żydowskiej nie jest jeszcze zakończony, a tragiczne zmagania narodu o najprymitywniejsze prawa do życia, trwają dalej. „Pamiętnik Jeremiasza Hansina" jest tylko wymownym i w pięknej formie artystycznej oddanym fragmentem tej walki. Lis podjął najaktualniejsze, najgorętsze problemy naszych czasów. Tym dziwniejszym wydawać się musi ów klasyczny spokój, z jakim analizuje autor wszelkie przejawy naszego życia. Jest to niewątpliwie dowodem dojrzałości artystycznej młodego, debiutującego pisarza, która pozwoliła na obiektywizm i syntezę, na ogarnięcie zarówno najważniejszych problematów naszej epoki, jak i na wniknięcie w jej charakterystyczne szczegóły.

W młodych oczach Jeremiasza Hansina odbija się smutna, tragiczna rzeczywistość narodu żydowskiego. Czy jednak objawy dzisiejszego zdziczenia zdołały złamać Hansina i zdegradować go do roli biernego cierpiętnika? Jehuda Lis odpowiada na to pytanie zupełnie wyraźnie. Gdy Hansin otrząsnął się w swoim pokoju po ciężkich chwilach gorączki i choroby — czekał już nań list od przyjaciela z Palestyny.

„Twoje papiery są już w Berlinie. Przyjedź! Czekamy na ciebie".

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

11)

Niezależnie od tego, jakieś energiczne wystąpienie nie będzie właśnie dla mnie rzeczą łatwą wobec zajęcia przez władze Edessy zdecydowanego stanowiska. Przypomnij sobie, proszę, żeś przed niedawnym czasem sam mi wspominał o konfliktach sumienia, grożących człowiekowi, będącemu jednocześnie obywatelem rzymskim, poddanym wielkiego króla Partów i obywatelem Edessy." „Nie powinienem był go prosić, — pomyślał Ceion. Rozkoszuje się tym, że go proszę." Nie wybuchnął jednak, opanował się, prosił dalej. „Nie bądź uparty. Przyznaję, że twój pogląd był słuszniejszy i że powinienem był się go trzymać. Ale nie miej mi tego za złe. Obaj jesteśmy Rzymianami, mój Varronie. Stoimy tu po to, aby bronić państwa po tej stronie Eufratu".

„Słuchaj, mój Ceionie, — odezwał się Varro prosto i gładko. — Proponuję ci pewien układ. Przyznasz, że niesłusznie zażądano ode mnie podatku inspekcyjnego. Zwrócisz mi te sześć tysięcy. Ja zaś zrobię porządek ze sprawą tego rzekomego Nerona, chociaż ją mocno już skomplikowałeś. Co o tem sądzisz?"

Varro siedział wygodnie w fotelu, mówił przyjaźnie, spokojnie, wewnętrznie jednak był niesłychanie podniecony. Był namiętnym graczem, serce jego biło dla gry, którą rozpoczął. Nie stracił jednak poczucia rzeczywistości i nie ukrywał przed sobą, że poza tym małym człowieczkiem stał Rzym, całe państwo ze swą potężną organizacją, wyrobioną sztuką państwową i armią i że on, Varro, który nie miał przeciw temu do postawienia nic poza niedorzecznym Terencjuszem, musi przegrać, jeśli poważnie zaangażuje się w walce. Osiągiął to, czego pragnął, dał Ceionowi szkołę. W gruncie rzeczy pragnął, aby Ceion dał mu teraz okazję do odwrotu. Postanowił uczciwie, że jeśli Ceion zwróci mu owe sześć tysięcy, zlikwiduje całą sprawę i wtrąci Terencjusza w nicość, z której go wydobył.

Kiedy Varro wyłożył swą propozycję, gubernator zatrzymał się nagle w swej wędrówce po komnacie. Cicho i gorzko odezwał się teraz: „Jesteś szantażysttą". „Lubujesz się w mocnych słowach, mój Ceionie, — odpowiedział, zawsze jeszcze przyjaźnie Varro. — Czy myślisz, że wówczas w Edessie posłałbym ci owe sześć tysięcy, gdybyś nie był mnie — powiedzmy — przyparł do muru? Teraz ty jesteś przyparty do muru, mój Ceionie".

Słowa Varrona brzmiały tak, jakby chodziło wyłącznie tylko o osobisty konflikt między nimi dwoma. A mimo to podczas jego przemowy zaświtała gubernatorowi myśl, że stoją tu naprzeciw siebie całkiem inne siły, nie on i jego szkolny kolega. Wydało mu się, że polityka zmarłego Nerona była dalszym ciągiem jakiegoś prastarego procesu, który nie skończy się na rozkaz gubernatora, czy cesarza, czy armii. Wyczuł, że tu wszystko wzajemnie się splątało, nieprzejrzyście, nieprzejrzanie, że uznanie Pakora, ściągnięcie sześciu tysięcy sestercyj, wystąpienie samozwańczego Nerona i prawdopodobnie wiele innych jeszcze zjawisk, o których nic nie wie, że te wszystkie, pozornie niezależne od siebie, rzeczy były głęboko i nierozwiązalnie zrośnięte i że zarówno on jak i Varro, stojący teraz naprzeciw siebie i tak pozornie swobodni w decyzji, również rzucają się w tej samej sieci, kierowani nieznanymi sobie siłami.

Wydał się nagle dziwnie bezradny: urzędnik, postawiony nieopatrznie przed trudnym, prawie nie do rozwiązania problemem, nie znajdujący żadnych precedensów. Co ma począć, on, który umiał wyłącznie tylko trzymać się cenionych wzorów i instrukcji? „Nie mogę przecież cofnąć moich zarządzeń, — rzekł, wzruszając ramionami, — wydanych w charakterze urzędowym. To pomniejsza szacunek dla państwa." I znalazłszy te słowa „szacunek dla państwa", zaraz poczuł się lepiej. To było coś, czego się mógł trzymać.

„Szacunek dla państwa, — powtórzył w zamyśleniu Varro. — Czy nie przypuszczasz, że szacunek dla państwa bardziej będzie narażony na szanse przez historię samozwańczego Nerona, niż przez zwrot sześciu tysięcy? Na tym Wschodzie trudno przewidzieć, komu i czyjemu szacunkowi sprzyja w końcu jakieś zarządzenie." Niestety, Varro miał słuszność. Wobec tego Ceion pominął słowa jego milczeniem i stwierdził tylko: „A więc nie chcesz mi pomóc?" „Ależ taż, — odparł Varro, — jeśli i ty mi pomożesz:" Mówił i myślał bez gniewu. Nie cieszył się z tego, że zmusił Straszaka do okazania tak dobitnie swej bezradności. Coraz groźniej majaczyły przed nim wszystkie niebezpieczeństwa — jego przedsięwzięcia i poza małym Ceionem widział postać olbrzyma: całe wielkie państwo rzymskie. Uczynił ostatnią próbę i poradził siedzącemu ponuro gubernatorowi: „Zastanów się jeszcze nad tem, mój Ceionie. Nie mów jeszcze ostatecznego: nie. Proszę, zastanów się nad tym."

W ciągu ułamka sekundy Ceion zadał sobie pytanie, czy nie byłoby mądrzej przyjąć propozycję Varrona. Przewidywał, że gdy zostanie bez pomocy tego człowieka, samozwańczy Nero zgotuje mu wiele trosk i powikłań. Natychmiast jednak ujrzał przed sobą osłonięte zasłoną woskowe popiersie, okrytego hańbą pradziada. Każdy inny miałby prawo iść na kompromis, on, Ceion, nie. Fakt ten — rozgoryczał go, nie gniewał się jednak na siebie, tylko na Varrona. Posępna rezygnacja pierzchła. Miejsce jej zajęła niezmierzona wściekłość na tego człowieka, siedzącego wygodnie i zuchwale i w dodatku cieszącego się jakby z tego nieokiełzanego, wstrętnego, wschodniego zamętu. Wyprostował się, znów stał się Rzymianinem, namiestnikiem cesarza. „Nie mogę cię, oczywiście, zmusić, — odparł najsuchszym, najbardziej ostrym urzędniczym tonem. I bezpośrednio gwałtownie: łamiącym się głosem uderzył: „Stoję tu na miejscu cesarza. Nie paktuję z jego poddanymy."

Varrona nie ucieszył gniew gubernatora, jak nie cieszyła go jego poprzednia bezradność. Kończąc rozmowę, rzekł: „Niestety, miałeś słuszność, mój Ceionie, podczas naszego pierwszego spotkania. Doprawdy my nie możemy razem pracować," a w głosie jego brzmiała raczej rezygnacja niż ironia. I odszedł.

Wieczorem tegoż dnia Ceion przekonał się, jak wielki błąd popełnił. Przywołał w pamięci słowa Varrona, jego twarz, sposób bycia, ton — i nagle, tak jasno, że aż zapiekło go w oczy, ujrzał, że Varro, nikt inny, tylko jego arcywróg, kryje się za tym samozwańczym Neronem. Znów zrobił wszystko naopak: powinien był albo zgodzić się na warunki Varrona, albo położyć na nim rękę.

Natychmiast wydał rozkaz aresztowania Varrona. Jednakże senator był już wówczas w drodze do Edessy.

18.

GRA VARRONA ZATACZA KRĘGI.

Swą córkę Marcię zabrał ze sobą. Biała, surowa Marcia kochała ojca, niechętnie jednak udawała się do Edessy. W Antiochii był jeszcze jakiś ślad Rzymu, w Edessie — już tylko Wschód. Ponieważ jednak ojciec tak rozkazał, była mu posłuszna.

Varro jechał wielkim taborem. W ostatnich czasach w granicach swych możliwości wyzbył się swych dóbr na terytorium rzymsko-syryjskim i co się dało wysłał zagranicę. Teraz wiózł ze sobą resztę ruchomości. Sam z Marcią i nielicznym orszakiem spiesznie jechał na przodzie. Wkrótce dotarli do Apamea, ostatniej rzymskiej miejscowości, przekroczyli most na Eufracie, wjechali na niewysokie wzgórze, którego grzbietem biegła granica i zatrzymali się na szczycie, na nierzymskim terytorium.

Tu właśnie, na pogranicznym wzgórzu Varro oczekiwał na swój tabor.

Siedział na koniu, patrząc jak tabory ciągnęły przez most, u jego stóp przelewała się żółta rzeka; powoli nadciągał potężny tabor, ludzie, zwierzęta, ładowne wozy.

A więc to niewielkie wzgórze, mówił w duchu zamyślony Varro, było jednym ze szczytowych punktów jego życia. Wiele pozostawił za sobą, na rzymskim terytorium, wille, dobra ziemskie, ludzi, konie, ruchomości, pieniądze. Prawdopodobnie wartość pozostawionego majątku wynosiła najmniej z piętnaście milionów sestercyj, wartość dwa i pół tysiąca razy większą, niż ów podatek inspekcyjny. I nietylko to pozostawało na tamtym brzegu. Pozostał cały świat Zachodu, jego rzymskość, rzymska cywilizacja i greckie wykształcenie. Varro nie żałował tego. Propozycja, uczyniona Ceionowi, powtarzane z naleganiem żądanie było ostatnią koncesją, na rzecz rozsądku. Zrządzeniem losu była nieustępliwość Ceiona. Teraz Varro przekroczył most, teraz całą swą istotą oddał się grze.

Zatrzymał się na małym wzniesieniu pod Apamea i patrzał wdół, obserwując jak jego ludzie i rzeczy opuszczają terytorium rzymskie. Przyniesiono skrzynię z dokumentami. Zatrzymał niosącego ją człowieka, wyjął pokwitowanie. Na odwrocie pod rubryką „Straty" dopisał „Piętnaście milionów sestercyj. Cywilizacja".

W dobrym nastroju, pełen chęci czynu odbył krótką drogę do Edessy. Wszędzie, gdzie przejeżdżał tłoczyli się ludzie i witali go gorąco. Fakt, że w świątyni Tarate przebywa człowiek, którego większość uważała za cesarza Nerona, wprawiał cały kraj w stan dzikiego, niepewności pełnego oczekiwania mających nadejść wielkich dni. Wjazd Varrona do Edessy był jakby powrotem — z tęsknotą wypatrywanego księcia. Na ulicach w zbitym tłumie stali Syryjczycy, Persowie, Arabowie, Żydzi, Grecy i witali go radośnie, jakby to on sam był cesarzem Neronem, przybywającym w odwiedziny do swego drogiego miasta Edessy.

Varro znał dobrze zmienność Wschodu i bynajmniej nie przeceniał znaczenia tego powitania. Wiedział, że czeka go jeszsze długa i trudna droga. Przede wszystkim należało zjednać sobie króla Mallukha i Szarbila. Znał ich obu, byli przebiegli i zaciekli, i z pewnością każą sobie drogo zapłacić za pomoc. Był przekonany, że zarówno król, jak i arcykapłan pragną równie gorąco jak on porozumienia. Mimo to król Mallukh pozwolił, aby upłynęły trzy dni, zanim zawezwał Varrona do swego pałacu.

Tam odbyła się jedna z owych spokojnych, nieskończenie długich rozmów, jakie król lubił, a jakie szarpały nerwami ludzi Zachodu. Monotonnie pluskała fontanna i dwukrotnie już wywoływacz podnosił dywan u wejścia, aby obwieścić godzinę, zanim rozpoczęto mówić o tym co wszystkim tak bardzo leżało na sercu. Wreszcie mógł Varro zacząć: „Kiedy ostatnim razem spotkał mnie zaszczyt stawienia się przed obliczem króla Edessy, mówiliśmy o pewnym człowieku, który podniósł wielkie roszczenie. Wówczas ty, arcykapłanie Szarbilu, rzekłeś: Jeżeli Rzym wypowie się za Pakorem, przeciwko zaś naszemu Artabanowi, wówczas serdeczną radością dla Edessy byłoby, gdyby cesarz Neron żył jeszcze. Teraz Rzym wypowiedział się za Pakorem". Ponieważ zaś obaj milczeli ciągnął dalej: „W Antiochii mają wrażenie, że i wy w międzyczasie posunęliście się bardzo daleko." Chciał dać im obu do zrozumienia, że i oni zajęli już pewne stanowisko.

Jednak król Mallukh w milczeniu zwrócił się ku człowiekowi z Zachodu swą smagłą twarzą o wypukłych oczach i odparł: „A zatym nieuważnie przeczytano nasze słowa w Antiochii. Z Edessy do Antiochii jest dobry dzień jazdy dobrą drogą dla dobrego jeźdźca. Może więc sprawy podczas jazdy z Edessy do Antiochii ulegają zmianie." Szarbil zaś ostro zaniterpretował słowa króla: „Dalecyśmy byli od tego i bardzośmy się strzegli uczynienia jakiegoś decydującego kroku. Kto zna bogów Wschodu, ten zrozumieć musi, że arcykapłan bogini Tarate nie może opuścić jej stawu podczas tarła świętych ryb". I, pełen godnej pogardy, tłumaczył dalej: „Bogini Taratenie robi różnicy między ludźmi, szukającymi schronienia w jej świątyni. Wyciąga rękę nad głową człoweka, bez względu na to, czy jest on garncarzem Terencjuszem, czy cesarzem Neronem. Nie pytaliśmy, kim jest ten człowiek. Nie wiemy tego. Najwyżej ty, o Varronie, któryś był bliskim przyjacielem cesarza Nerona, możesz nam to powiedzieć".

„Czy waszym szczerym życzeniem jest — badał Varro — dowiedzieć się, kim jest ten człowiek?" „Jest naszą wolą, — odparł arcykapłan, — dowiedzieć się, co ty, o Varronie, myślisz o tym człowieku." „Jeśli chcecie, — odrzekł Varro, — mam na to sposób. Między cesarzem Neronem i mną istnieją tajemnice, których nikt znać nie może poza nim i mną. Jeśli ten człowiek zna je, wówczas jest cesarzem. Czy godzicie się na ten dowód?"

Arcykapłan spojrzał na króla, pozostawiając jemu odpowiedź. „Słowo dowodzi wielu rzeczy, — rzekł król, — nie dowodzi jednak ostatecznie. Ostatecznym dowodem może być tylko czyn".

Oczywiście, Varro zrozumiał natychmiast, dokąd zmierzają król i arcykapłan. Nie rzekomego Nerona, lecz jego chcieli zmusić, aby zadokumentował czymś więcej niż słowem swe stanowisko i związał się po wszystkie czasy. Z udaną naiwnością zachowywał się jednak tak, jakby nie rozumiał słów króla, i czekał z pytającą miną. Niecierpliwy Szarbil dał wkrótce wyjaśnienie: „Chodzi o to, abyś ty, o Varronie, twą wiarę w owego człowieka potwierdził czemś więcej, niż słowami."

Varro przygotowany był na to, że będzie się odeń wiele wymagać, mimo to opanował go strach przed usłyszeniem królewskich żądań i próbował odsunąć od siebie tę przykrą chwilę. „Varro wie, — odparł z naciskiem, — że człowiek Wschodu wymaga wielu prób od człowieka Zachodu zanim mu zaufa. Jednakże Varro sądzi, że dowiódł tego, iż na swój zaszczytny tytuł „Kuzyna króla Edessy" zasłuży".

Ani Mallukh ani Szarbil nie odpowiadali. Zapadło nieskończenie długie milczenie i Varro żałował już, że sam skazał siebie na czekanie, albowiem ci ludzie Wschodu umieli lepiej, dłużej i spokojniej czekać i milczenie bardziej przygniatało jego, niż ich. „Kiedy uznam tego człowieka za mego cesarza Nerona, — odezwał się wreszcie, dość wyczerpany, — Tytus i jego namiestnicy skonfiskują wszystkie moje dobra na terytorium rzymskim. Czy to nie starczy za dowód?" Szarbil odpowiedział leciutkim szyderstwem: „Być może, że konfiskują twe dobra. Ale nie kochają cię w Antiochii i może nawet bez owego nowego Nerona znalezionoby powody do zmniejszenia stanu twego posiadania. Aby nas przekonać, musiałbyś wiary swej dowieść dobitniej". Teraz wreszcie zabrał głos król. Głębokim, spokojnym głosem rzekł: „Tak, musisz tego dowieść dobitnej".

Varro zbladł, przeczuwał dokąd zmierzają — stąd jego wahanie się i wielomówność. „Jakże mam dowieść dobitniej?" — spytał bezradnie.

Wywoływacz odsunął dywan, obwieścił godzinę. Król kazał podać słodycze, wypytywał uprzejmie Varrona o jego życie w Antiochii, o odbytą podróż. Nerwy szarpał monotonny plusk fontanny.

Wreszcie odezwał się Szarbil: „Mógłbyś na przykład dowieść twej wiary, dając temu Neronowi za żonę córkę twą Martę."

Kiedy arcykapłan wyruzcił te słowa z poza złoconej zagrody zębów, Varro zadrżał w głębi serca. To, co ci obaj uknuli, było arcydziełem wschodniej przebiegłości i dowodziło jak dobrze go znali. Trafili właśnie w najdrażliwszy punkt. Całą duszą kochał swą białą, piękną, surową córkę Marcię. Wszystko, co w nim było rzymskiego, ucieleśniło się w jego pięknym dziecku. Mogły zdarzać się chwile kiedy Marcia pogardzała ojcem, ale mimo wszystko kochała go jednak i podziwiała. Marcia dumnie zamykała się w swej rzymskości i unikała zbliżenia z ludźmi Wschodu. A więc tego wymagali odeń ci ludzie, to miało być prawdziwym dowodem. Gdyż, gdyby ów Neron był oszustem, król i kapłan związywali wymuszonym małżeństwem jego córkę nietylko mocniej, niż przez zajęcie jakiegokolwiek innego dobra, ale i upokorzali jego dumną Rzymiankę Marcię, zmuszając ją do współżycia z oszustem i niewolnikiem.

Czy Marcia zgodzi się, jeśli tego od niej zażąda? A jeśli tak, czy nie wyrwie z serca całej swej dlań miłości?

W tej chwili pojął, że jego żart zaczyna być bardzo kosztowny.

Raz jeszcze przemyślał możliwość zaniechania całego przedsięwzięcia. A co, gdyby tak teraz wrócił do Antiochii i powiedział Ceionowi: „Obejrzałem tego człowieka. Jest istotnie głupcem i oszustem, za jakiego uważaliśmy go od początku i jeśli tego chcesz, mój Ceionie, oświadczę to publicznie. Ceion przyjąłby go z otwartymi rękami, nawet na Palatynie dziękowanoby mu. Straszak zrozumiałby, kim on jest i wystrzegałby się powtórnego żądania odeń podatku inspekcyjnego, lub czegoś podobnego.

Czyż jednak chodziło o Straszaka, lub o niego? Chodziło o ideę Nerona, o jego dzieło, o dalszy ciąg dzieła wielkiego Aleksandra, chodziło o Wschód, o jego stopienie z Grecją i Rzymem. Czy ma pozostawić na pastwę losu to, co ledwie rozpoczął?

Pochylił się przed królem Mallukhem i przed arcykapłanem i rzekł: „Jeżeli cesarz Nero zechce zaszczycić córkę Varrona pojęciem jej za małżonkę, nikt bardziej od Varrona cieszyć się tym nie będzie."

19.

ROMANTYKA I EMERYTURA.

Następnym z kolei człowiekiem, którego Varro wybadać musiał w sprawie Nerona, był dowódca rzymskiego garnizonu, pułkownik Frontinus. Jeśli jego przedsięwzięcie nie miało się rozbić w kawałki, musiał zapewnić sobie neutralność Frontinusa, o którego ukrywanej życzliwości nie wątpił zresztą nigdy. Cenił Frontinusa. Uważał go za najzdolniejszego wojskowego i jednego z lepszych polityków Mezopotamii i czuł się mu bliski wychowaniem i poglądami. Szukał więc dobrze zaaranżowanego przypadku któryby ich zetknął.

Dwa razy w tygodniu zbierali się panowie należący do wyższej sfery Edessy w willi fabrykanta dywanów Nittaia, aby grać w piłkę, bardzo wówczas modną. Varro wiedział, że pułkownik Frontinus czętso brał w grze udział. Ucieszył się spotkawszy go już za drugim razem. Varro nie był złym graczem, Frontinus zaś bardzo dobrym. W szatni — w piłkę bowiem grano tylko w krótkiej tunice — spytał pułkownika, czy mógłby sobie pozwolić na zaproszenie go do gry we dwoje. Frontinus zgodził się z widoczną przyjemnością. „Dętą piłkę, czy pełną?" — syptał. „Najcięższą" — zaproponował Varro. „Jeśil tak sobie życzysz," — uśmiechnął się w odpowiedzi Frontinus.

(C. d. n.)

J. BLEIBERG

Myślę - więc jestem

(w 300-lecie „Rozprawy o metodzie" Descartes'a*)

Ukazanie się „Rozprawy o metodzie" Descartes'a (w roku 1637) było przełomowym faktem w dziejach myśli europejskiej, jednym z tych doniosłych historycznych wydarzeń, które ukształtowały duchowe oblicze czasów nowożytnych. Znamienny dla nich duch krytycyzmu wobec kulturalnego dziedzictwa przeszłości objawił się najwspanialej w niewielkiej pracy francuskiego filozofa, kontynuującego rozpoczęte przez humanistów i myślicieli Renesansu dzieło wyzwolenia człowieka z więzów autorytetu, dogmatu i tradycji. Taranem zwątpienia uderzył Kartezjusz (spolszczone nazwisko Descartes'a) w tysiącletni gmach nauki średniowiecznej, skalpelem logicznej analizy ujawnił kruchość jej podstaw, niepewność jej wyników. Poszukując namiętnie własnej prawdy, w której widział najistotniejszy cel swego życia, unikał utartych szlaków łatwych rozwiązań, gotowych i tradycyjnych formuł, wybrał raczej trudną i niewdzięczną rolę pioniera i odkrywcy.

Już w okresie pierwszej swej młodości, na ławie szkolnej w kolegium jezuickim w La Flèsche (od roku 1604 do 1612) nie poprzestawał Descartes na biernym przyswajaniu sobie szkolnego materiału. Śmiałością i samodzielnością sądów zdumiewał i niepokoił wielebnych ojców, wprawiał ich w kłopot swoimi pytaniami, drażnił krytycznym oporem wobec prawd, uchodzących za niewzruszone podstawy wszelkiej wiedzy. W nauce szkolnej uderzała go jej zupełna obcość w stosunku do rzeczywistości, przeładowanie programu materiałem historycznym, studiami starożytnych ksiąg, przesłaniających wiecznie żywą i dla wszystkich otwartą księgę Natury. W filozofii dziwiła go rozbieżność zdań w jednej i tej samej sprawie, różnorodność rozważań, z których przecież jedno tylko może być prawdziwe.

Wiedza, zdobyta w jezuickim kolegium, nie zadowoliła krytycznego umysłu przyszłego filozofa, nie zaspokoiła jego niepohamowanej żądzy wiedzy o świecie i człowieku. Stała się natomiast przyczyną silnego duchowego fermentu, którego wynikiem było odnalezienie własnej drogi myślowej, nowej metody badawczej, sformułowanej po raz pierwszy w „Rozprawie o metodzie", której pełny tytuł brzmi: Discours de la mètode pour bien conduire sa raison et chercher la verité dans les sciences — (Rozprawa (rozmowa) o metodzie dobrego powodowania swoim rozumem i szukania prawdy w naukach). Myśliciel francuski nazwał swą pracę skromnie „discours" (rozmowa — gawęda) a nie „traité" (traktat) i napisał ją w języku, dostępnym dla ogółu, a nie w akademickiej łacinie, by trafiła ona do ludzi, nie podlegających wpływom „urzędowej" uczoności, a posługujących się jedynie zdrowym, naturalnym rozsądkiem. Descartes nie przemawia do swych czytelników z wyżyn erudycji, jak wtajemniczony do profanów, nie poucza ani moralizuje, lecz opowiada o sobie, o swej górnej młodości, wędrówkach po świecie, o poszukiwaniu archimedesowego punktu dla swej niezaspokojonej myśli. Mimo ogólnego, filozoficznego tytułu „Rozprawa" ma charakter autobiograficzny. Wzrusza prostotą i szczerością wypowiedzi, jest filozoficzną spowiedzią namiętnego poszukiwacza prawdy, opanowanego pasją logicznej jasności i ścisłości, dręczonego straszliwym uczuciem poznawanego niedosytu i myślowej niepewności. — Intymno - osobiste zabarwienie dziełka Kartezjusza, jego podłoże psychologiczne stawia je w jednym rzędzie z „Wyznaniami" św. Augustyna, Rousseau'a i „Spowiedzią" Tołstoja.

Zawiedziony w swych poznawczych nadziejach, opuszcza 16-letni Descartes jezuickie kolegium. Ośmioletni pobyt w szkole doprowadził go jedynie do smutnego wniosku, że niczego nie zna, aczkolwiek uzyskał już formalnie tytuł uczonego wniosku, że niczego nie zna, aczkolwiek przy tym *„nie szukać żadnej prawdy, oprócz tej, jaką mógłby znaleźć w sobie samym lub w wielkiej księdze świata"* (Rozprawa o metodzie cz. I. przekład Boy'a). Rok bawi w Paryżu, gdzie prowadzi tryb życia światowca, aby w wirze życia wielkomiejskiego zagłuszyć swój wewnętrzny niepokój. Niebawem jednak zamyka drzwi przed hałasem Paryża, przenosi się do samotnej przedmiejskiej dzielnicy, zdala od gwaru i pokus stolicy poświęca się w całości studiom matematycznym, które wydawały mu się najwłaściwszą drogą do tak bardzo upragnionej, a tak dalekiej od prawdy. Ale i studia nad matematyką, najbardziej ulubioną przezeń nauką, nie zaspokoiły jego duchowego głodu, nie rozwiały wątpliwości, nie przyniosły rozwiązania najtrudniejszego równania z dwiema niewiadomymi: duszy ludzkiej i świata. Filozof wraca do życia, postanawia resztę swej młodości spędzić na podróżach, na obserwowaniu ludzi i ich obyczajów, na badaniach różnych społecznych środowisk, na gromadzeniu życiowych doświadczeń. Wystawia się świadomie na próbę życia, której poświęca 16 lat swego krótkiego, bo zaledwie 54 lata trwającego żywota (1596—1650). Descartes zwiedza prawie całą zachodnią i środkową Europę, uczestniczy w wyprawach wojennych, doznaje wielu przygód, styka się z rozmaitymi ludźmi, obserwuje różne obyczaje i zwyczaje, studiuje pilnie wielką księgę świata, zachowując jednak zawsze raczej pozycje widza, niż aktora i nie tracąc ani przez chwilę z oczu swego głównego celu: *osiągnięcia pewnej i niewzruszonej prawdy.*

Wędrówka po świecie przypominała autorowi „Rozprawy o metodzie" jego pierwsze studia filozoficzne: i tu i tam — ta sama rozbieżność poglądów i stanowisk, różnice ludzkich obyczajów okazały się nie mniejsze od różnic, dzielących poszczególnych filozofów. Jedynym pozytywnym rezultatem szesnastoletnich obserwacji było *wyzwolenie umysłu od błędów i przesądów*, które zaciemniały jego naturalne światło oraz postanowienie *„nie uwierzenia w nic bez rozwagi i nie obstawania przy tym, co zostało umysłowi narzucone przez tradycję lub obyczaj.* To postanowienie przekonało też ostatecznie filozofa, że wytyczną dla dalszych jego poszukiwań może być jedynie analiza własnej świadomości, zagłębianie się w samego siebie — autorefleksja. Zdaje on sobie już teraz jasno sprawę, że tylko we *własnym umyśle* znajdzie on fundamentalne zasady wszelkiej wiedzy, nieomylne kryterium prawdziwości. Aby uzyskać maximum pewności, eliminuje niejako z umysłu całą jego zawartość, staje na stanowisku zupełnego sceptycyzmu, zwątpienia o wszystkim, nawet o własnym istnieniu. Świadom złudności zmysłów, omylności rozumu i braku wyraźnej granicy między jawą a snem, poszukuje prawdy, która nie ulegałaby już żadnej wątpliwości, zasady absolutnie pewnej i oczywistej. Dopóki jej nie osiągnęliśmy, zamknięci jesteśmy w zaczarowanym kręgu błędu i ułudy, rozumujemy w próżni. Prawdą bezwzględnie oczywistą i niezachwianie pewną jest dla Kartezjusza sam *fakt wątpienia.* Możemy bowiem się mylić, być wprowadzani w błąd przez rozum lub zmysły, sam jednak fakt myślenia jest bezsporny. *Możemy wątpić o wszystkim, ale nie o tym, że wątpimy, że jest istota, która wątpi, że istnieje myśląca jaźń, bez której fakt myślenia byłby niemożliwy.* W ten sposób doszedł francuski filozof do swej słynnej formuły: JE PENSE DONC JE SUI — COGITO ERGO SUM — MYŚLĘ WIĘC JESTEM.

W tym podstawowym twierdzeniu znalazł twórca „Rozprawy o metodzie" niewzruszoną bazę dla dalszej swej pracy myślowej, *w której postanowił nie przjmować za prawdę niczego, co nie będzie dlań tak oczywiste, tak jasne i wyraźne, jak owa teza zasadnicza.* Zastanowiwszy się — powiada — iż w owym: myślę więc jestem niema nic, coby mnie upewniało, iż mówię prawdę, prócz tego, iż widzę bardzo jasno, że, aby myśleć, trzeba być, osądziłem, iż mogę przyjąć jako powszechne prawidło, *że tylko rzeczy, które pojmujemy bardzo jasno i bardzo wyraznie, są prawdą.* (Rozp. o met. cz. IV, przekł. Boy'a).

Przez to swoje stanowisko przywrócił Descartes rozumowi ludzkiemu jego niezależność, wolność i samodzielność, której pozbawiła go średniowieczna filozofia scholastyczna, stojąca na usługach teologii. Scholastycy zredukowali funkcję rozumu do służalczej roli komentatora dogmatów religijnych, uczynili rozum lennikiem wiary, a filozofię służebnicą teologii. Metoda, którą się posługiwali, nie była sposobem krytycznego poszukiwania *nieznanej jeszcze prawdy,* lecz logicznym narzędziem ugruntowania prawdy *z góry już przyjętej jako pewnik,* nie miała więc charakteru naukowego, jaki nadał jej Kartezjusz. U niego metoda służy do właściwego używania rozumu i odkrywania naukowych prawd.

„Discours de la méthode" jest „wielką kartą swobód" ludzkiego rozumu, deklaracją praw ludzkiej myśli, stanowiącej właściwy atrybut naszego istnienia. Istniejemy bowiem naprarwdę tylko wówczas, gdy myślimy według reguły Descartes'a t. j. *samodzielnie, niezależnie, krytycznie, gdy nie ulegamy żadnej presji z zewnątrz nie sugerujemy się tradycją, nie poddajemy się wpływowi otoczenia i środowiska.*

Taki sposób myślenia jest najistotniejszym znamieniem naszego człowieczeństwa, naszym elementarnym obowiązkiem i najwyższym przywilejem. Nic bowiem nie jest w naszej mocy prócz naszej myśli, ona jedynie świadczy o tym, żeśmy zostali stworzeni na obraz i podobieństwo boże. Kopernik ujawnił znikomość człowieka w obrębie kosmosu, Descartes zaś przywrócił mu tytuł pana stworzenia przez ustalenie suwerenności i niepodległości jego umysłu.

W perspektywie trzech stuleci, dzielących nas od ukazania się „Rozprawy o metodzie", opisany w niej wewnętrzny proces wyzwoleńczy wielkiego francuskiego myśliciela urósł *do symbolu walki „ducha wiecznego rewolucjonisty" z krępującymi jego swobodę więzami autorytetu, dogmatu i tradycji.* Zasady kartezjańskiego krytycyzmu, zrealizowane już w naukach ścisłych, fizyczno-matematycznych, nie znalazły jeszcze pełnego zastosowania w naukach humanistycznych, w których względy i sprawy pozanaukowe zaciemniają bardzo często istotny obraz rzeczywistości, fałszują obiektywną prawdę o zjawiskach.

„Rozprawa o metodzie" jest typowym prodkutem francuskiej umysłowości. Wybitnie francuskie jest to, tak bardzo dla niej znamienne, dążenie do jasności, przejrzystości i ścisłości, bezpośredniość i szczerość zawartych w niej autobiograficznych wynurzeń, klasyczny umiar w przedstawianiu wewnętrznego dramatu zwątpienia, unikanie pozorów uczoności, poszukiwanie kontaktu z rzeczywistością i przenikające całą treść „Rozprawy" silne umiłowanie wolności i swobody ducha.

Dla uczczenia 300-lecia „Discours de la méthode" odbędzie się w Paryżu, w dniach od 1-go do 6-go sierpnia b. r. IX Międzynarodowy Kongres Filozoficzny, który nosić będzie nazwę Kongresu Descartes'a. Honorowym przewodniczącym Zjazdu, którego organizacją zajmuje się Francuskie Towarzystwo Filozoficzne, obrany został Henryk Bergson. Ostatni komunikat Komitetu Organizacyjnego zawiera tytuły 283 referatów, z tej liczby na Polskę przypada 20. Uniwersytet Jerozolimski reprezentowany będzie przez prof. L. Rotha. Zjazd Paryski oświetli wszechstronnie osobistość i doktrynę wielkiego filozofa, ujawni jej aktualność i żywotność, podkreśli jej trwałe wartości, będzie zbiorowym hołdem filozofów całego świata dla genialnego francuskiego myśliciela, twórcy metodologicznych podstaw nauki współczesnej.

*René Descartes (Cartesius — 1596—1650 —) genialny francuski filozof, matematyk, fizyk, twórca geometrii analitycznej — ojciec nowożytnej filozofii.

Leopold Gajzler

O wychowaniu seksualnym dzieci

I.

Słusznie zaznacza Mączkowska („Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży" W-wa, 1934), że „jeśli dawna szkoła intelektualistyczna ustąpiła miejsca szkole nowoczesnej, która jest przede wszystkim instytucją wychowawczą, to dziwić się należy, że do dziś dnia nie zwrócono niemal żadnej uwagi na wychowanie seksualne. Tym bardziej, że nowe programy szukają rozwiązania dla zawikłań wychowawczych w psychologii i liczą się z faktem, że w poszczególnych fazach rozwoju zmienia się struktura psychiki dziecka i jego stosunek do świata".

Przecież jest dziś aksjomatem w pedagogice twierdzenie, że każda faza jest przełomem w życiu dziecka, i że jak największą uwagę należy zwracać na t. zw. okres dojrzewania, kiedy to bowiem przetwarza się psychika dziecka na całym swym obszarze i to często w nie ewolucyjny, lecz rewolucyjny sposób (St. Baley: „Psychologia wieku dojrzewania". 1931)

Liczne ankiety wykazały, że młodzież przeważnie zaczyna żyć seksualnie około 14-15 roku życia, że w 70% między 16 a 20 rokiem życia zdarzają się już nader liczne wypaki zarażenia chorobami wenerycznymi.

Jeżeli porównać dane statystyczne schorzeń wenerycznych wśród młodzieży seksuologa przedwojennego, Rohlendera („Grundzüge der Sexualpädagogik" 1905) z obliczeniami Dryjskiego (Zagadnienia seksualizmu dziecka. 1934), to przekonamy się, że nie zrobiono nic absolutnie w kierunku zapobiegania szerzącej się katastrofie, mimo bowiem bezustannego tworzenia nowych systemów i metod pedagogicznych sprawa wychowania seksualnego jako „drastyczna" nie jest brana pod uwagę.

Przyczyną tej negacji tematu jest niezdolność wychowawców radzenia sobie w chwili decydującej, gdy młodzież domaga się wyjaśnień i wskazówek.

Jeśli celem wychowania ma być przygotowanie dziecka do życia i odpowiednie kształtowanie jego charakteru, to należy przede wszystkim dbać o harmonijny rozwój popędów seksualnych. Wychowanie bowiem — według psychologów i psychiatrów — powinno dążyć do opanowania instynktu seksualnego, ale nie dławić go i wykoślawić.

Według badań psychoanalitycznych nadmierne tamowanie popędu seksualnego pociąga za sobą zgubne skutki dla całości energii psychicznej, dla aktywności życiowej. Freud, w swojej pracy „Drei Abhandlungen über die Sexualtheorie", dowiódł, że neuroza powstaje często wskutek zahamowania rozwoju seksualnego, która zatrzymana w pewnej fazie swego rozwoju stwarza dyspozycje do tej lub innej nerwicy, czyli stwarza t. zw. konstytucję psychoseksualną człowieka i ona to stanowi jedno z najważniejszych źródeł psychonerwic.

Ma tedy, jak zaznacza dr. Mirski, („Rozwój i wychowanie płciowe dziecka w świetle freudyzmu") wychowanie seksualne dwojakie zadanie: negatywne i pozytywne. — Pierwsze polega na tym, by usuwać wszelkie momenty, które mogłyby, rozwijający się popęd seksualny przedwcześnie obudzić, podniecić lub wypaczyć, drugie — by w samym człowieku te siły kształcić i potęgować, któreby równoważyły nadmierny wzrost zmysłowości, a zarazem opanować ją zdołały i przetwarzać na wartości wyższe, sublimować.

Indywidualność osobnika, mówi Freud, jego wartość duchowa, kultura, mogą być doskonałym hamulcem w dążeniach libido do wyżycia się. Libido dąży w każdym człowieku do swojej realizacji. Wywiązuje się tu walka między siłą kultury, nabytą drogą wychowania, a siłą żywiołowości natury. Kultura człowieka musi zyskać moc odpowiednią, aby przezwyciężyć, wyprzeć w dziedzinę świadomą dążenia libido.

Wychowanie może więc wpłynąć według seksuologów — na harmonijny rozwój popędu seksualnego. Może drogą „sublimacji" skierować libido na drogę pracy umysłowej, artystycznej, społecznej i t. d.

Według psychoanalizy, a nawet, według bardziej umiarkowanej w tym kierunku psychologii indywidualnej Adlera, popęd seksualny, jako popęd do rozkoszy właściwy jest już maleńkiemu dziecku, przybiera on jednak dopiero w okresie dojrzałości postać konkretną.

Wskutek więc tego, że „pierwiastki płciowe u dziecka związane są ścisłymi węzłami rozwojowymi z resztą życia psychicznego i czynności fizjologicz., nieumiejętne wpływy wychowawcze są w stanie przy najlepszej woli rozdmuchać iskierki zboczeń płciowych, wywołać nerwice oraz wiele wad charakteru, powstających w związku z życiem seksualnym. (Tad. Bilikiewicz „O płciowym uświadomieniu dziecka" Higiena Psychiczna Nr. 3-5 R. 1935). Należy więc, według Bychowskiego („Zagdnienie wychowania seksualnego") już od najwcześniejszych miesięcy unikać wszystkiego, co nadmiernie podniecać może zmysłowość dziecka w jej pierwotnych przejawach (popędy cząstkowe). W tym kierunku działać może zbytnia czułostkowość i tkliwość ze strony otoczenia, nadmierne pieszczoty, zbyt częste branie przez dorosłych do łóżka i t. p. Koniecznie pamiętać należy, by w związku z pielęgnowaniem dziecka nie drażnić zbytnio, przy myciu, okolicy onalnogenitalnej, zwracać uwagę , ażeby podnieta cielesna np. wysypka w tej okolicy, robaki, nie wywoływały podrażnienia, które tak łatwo prowadzi do masturbacji. Należy jednak zachować umiar, a więc nie pozbawiać dziecka całkowicie pieszczoty, od ssania odzwyczaić powoli i powoli odzwyczajać od innych nawyknień, skoro już do nich dopuszczono, bo można łatwo wywołać lęk, poczucie winy: upór zaś i przekora, pobudzone do aktywnego działania mogą wywołać skutki wręcz przeciwne.

Wiele kłopotów sprawia — według seksuologów — masturbacja w okresie rozkwitu płciowości dziecięcej t. j. około 4-tego roku życia — normalny objaw o ile nie przekracza pewnej miary nie jest masturbacja nałogowa, doprowadzona do szkodliwy. Ujemnie na psychikę działa neurastenii, obiawiającej się w zatraceniu kontaktu z rzeczywistością, w zatraceniu czynnego stosunku do życia, masturbacja nałogowa wytwarza często dyspozycje psychiczne objawiające się w zwątpieniu we własne siły, co niekiedy kończy się samobójstwem. Tu nagana nic nie pomoże — wpływa raczej ujemnie na psychikę. Należy powoli, łagodnie, niespostrzeżenie dla dziecka, skierować jego uwagę w kierunku pewnych zainteresowań. Dbać należy przedewszystkim, aby rączki zawsze były czemś zajęte.

Mniej więcej około 5-tego roku życia występuje okres t. zw. „latencji" (utajenie). Należy tu znów zachować wszelkie środki ostrożności przeciw pobudzaniu, jak np. dorośli nie powinni rozbierać się wobec dzieci, nie rozmawiać o kwestiach płciowych w ich obecności i t. d. Słusznie zaznacza Bilikiewicz, że „dorosłych powinna obowiązywać zasada zachowania się przy dzieciach tak, jakdyby one wszystko rozumiały — i to począwszy od pierwszych miesięcy życia".

2.

Uświadamianie dzieci należy do niełatwych funkcyj. Wiele trudności wytwarzaa nasze nastawienie psychiczne, nasz tradycyjny pogląd, podany nam przez prababki w formie kategorycznej ,że instynkt płciowy jako „zwierzęcy" zasługuje na pogardę i tłumienie. Stąd matka, wstydząca się dać dziecku odpowiedź na pytanie skąd się ono wzięło, ojciec, wychowawca wolą zostawić sprawę losowi przypadku. Powstaje więc pytanie zasadnicze, czy należy dzieci uświadamiać? Na to odpowiadają słusznie seksuolodzy, że niezależnie od woli rodziców lub wychowawców każde dziecko przechodzi uświadomienie płciowe, podane brutalnie, od strony wulgarnej, w sposób, który deprawuje i roznieca przedwcześnie drzemiące w dziecku popędy. Czynią to służące, koledzy, brukowa literatura lub pierwszy lepszy przygodny towarzysz. Powinniśmy zdać sobie sprawę z wyników takiego „uświadomienia" i podjąć wreszcie skuteczną w tej dziedzinie inicjatywę.

Sama funkcja uświadamiania nie należy do łatwej: Zreferujemy niektóre rady praktyczne, podane przez Mączkowską, Bilikiewicza i Dryjskiego.

A więc przede wszystkim — umiejętny sposób prowadzenia z dzieckiem pogadanki lub rozmowy. Konieczna tu jest prostota i swoboda — unikanie atmosfery niezdrowej „tajemnicy". Mówić o instynkcie płciowym tak, jak o innych zjawiskach przyrody.

Mówić prawdę. Dziecko prawdy nie przyjmie z awersją jak sądzą dorośli, przeciwnie dzieci często mają urazę do rodziców za kłamstwa. Powstaje pytanie kiedy uświadamiać. Wśród różnych koncepcyj najbardziej wydaje się być przekonywujące twierdzenie Bilikiewicza, że należy czekać aż dziecko samo zacznie się pytać. Nie prowokować pytaniami, ani też nie odpowiadać więcej, niż samo pytanie zawiera.

Kto powinien uświadamiać? Według Bilikiewicza — każdy, do którego się dziecko zwraca. Uświadamiający powinien jednak mieć odpowiednie przygotowanie ku temu. Podkreślamy — nie wolno pod żadnym pozorem uświadamiać dzieci wbrew ich wyraźnej woli.

Jeżeli daje się zauważyć objaw wstydzenia się własnych rodziców to mamy dowód niezbity, że zaszły już w duszy dziecka pewne konflikty między popędem dziecięcym, a jego zasadami etycznymi i że jego ciekawość oraz naturalna skłonność erotyczna została określona jako „grzeszna i zakazana".

Słusznie zaznacza, cytowany wyżej przez nas prof. T. Bilikiewicz, że punktem drastycznym jest, w tych wypadkach, zazwyczaj życie płciowe rodziców. Temat przykry zarówno dla dorosłych jak i dla dzieci: Dla dziecka drażliwość tego tematu jest stokroć większa. Wskutek wrażliwości i specyficznych inklinacyj uczuciowych zetknięcie się jego z objawami życia płciowego rodziców stanowi dlań wstrząs tak dotkliwy, że niekiedy prowadzi do psychicznego załamania się. Rodzą się wtedy u dziecka konflikty, które psychoanaliza określiła nazwą „Kompleksu Edypa",

Zaznaczyliśmy już, że uświadamianie dzieci nie należy do funkcji łatwej i nie każdy może, ani powinien się jej podjąć. Od uświadamiającego wymagane są następujące warunki kardynalne: duży takt, intuicja, subtelność, inteligencja, poza tym konieczne są zasadnicze wiadomości z zakresut anatomji, fizjologji i histologji, aby unikać wszelkich nieścisłości, niedomówień, a już najbardziej wystrzegać się wszelkich wykrętnych odpowiedzi: Koniecznym jest również, aby dzecko poważało i miało pełne zaufanie do uświadamiającego. Uświadamiać można jedynie takie dziecko, które normalnie rozwija się zarówno fizycznie jak i intelektualnie (ocena rodziców jest najczęściej subiektywna i nie miarodajna).

Schematyki odpowiedzi podać nie możemy, trzeba się zawsze liczyć indywidualnością dziecka.

Pamiętać należy, że uświadamianie dziecka musi mieć wyłącznie charakter *wiedzy*, że nie należy kojarzyć w pogadance zjawisk przyrody ze zjawiskami uczuciowymi, jak miłość, pożądanie i t. d. Jeśli bowiem nie dążymy do tłumienia dziecięcego życia płciowego, to jednak pragniemy kierować jego rozwojem, by mógł kiedyś, w przyszłości pełnić normalnie swoją celową czynność.

Operowanie analogią jest środkiem wielce ułatwiającym uświadamianie. Łatwo nam jest bowiem opowiadać o życiu zwierząt, ptactwa, roślin i przejść niepostrzeżenie do zjawisk naszego życia.

Na niektóre jednak pytania należy odpowiadać wręcz, np. na pytanie, skąd się dzieci wzięły. Opowiedzieć o roli samca w procesie zapłodnienia (zespolene się jajka samiczki z plemnikiem samca) dalej o tym jak dziecko przebywało w „brzuchu matki" (brzuch w pojęciu dziecka nie jest wyrazem brzydkim) tam leżało jak piskle w gniazdku i odżywiało się tym, czym się matka odżywiała, bo było za słabe, by mogło samo jeść, a dopiero, gdy zyskało na sile wyszło na świat.

Zresztą odpowiedź ta jest jedną z wielu, utrzymana w tonie powagi i swobody osiągnie stanowczo swój cel.

Na razie na powyższych uwagach, opartych na literaturze seksuologicznej kończymy.

Poruszyliśmy sprawę seksualizmu dziecięcego na łamach pisma popularnego w nadziei, że zagadnienie stanie się tematem szerokej dyskusji, gdzie zarówno rodzice, wychowawcy i lekarze wypowiedzą się w kwestji tak doniosłej i tak mało omawianej.

ANTENA ŚWIATA

Leon Degrelle

Leon Degrelle, twórca rexizmu jest faszystą. W Belgii wszyscy jego przeciwnicy oskarżają go o to, że jest na żołdzie Hitlera. I aby mu dokuczyć w nazwie partii zamiast litery x piszą znak swastyki. Ponieważ nie ma takiej czcionki drukarskiej, gazety brukselskie specjalnie ją zamówiły. Mimo ogólnej niechęci ludności, zwolennicy Degrelle'a jeszcze w przeddzień wyborów ogłaszali wszem wobec: Degrelle pobije Van Zeelanda. Niebo jest z nami, 11 kwietnia jest dniem Świętego Leona. Zwolennicy zaś Van Zeelanda ciągle żartowali z Degrelle'a i jego rexu i nazywali go przez analogię z **Führerem — Fourex.**

Degrelle robił co mógł, organizował wiece, przemawiał ciągle, stara się być wymowny, aczkolwiek elekwencja jego jest nieco dziwna. Potrafi on tylko złorzeczyć i atakować. Nigdy nie wypowiada żadnej myśli twórczej. W tygodniu przedwyborczym, na pewnym jego wiecu, jeden z obecnych tam socjalistów poprosił o wyjaśnienie. Degrelle, skonsternowany, przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, aż w końcu zawołał: — „Te, zdejm okulary, ty stary ośle!" Tłum zawył z radości, a Degrelle, ucieszony „zwycięstwem", kontunuował swe przemówienie. Wiece choć **bardzo częste, to zbyt mało dla zdobycia popularności.** Trzeba było wymyśleć coś oryginalnego. Polecono więc, pewnemu rzeźbiarzowi z Antwerpii, aby wykonał olbrzymich rozmiarów głowę Degrelle'a, którą miano obwozić po ulicach Brukseli w dniu wyborów. Rzeźba ta kosztowała 1.100 fr. belgijskich, co nie było chyba zbyt wygórowaną ceną za głowę przyszłego dyktatora. Prócz tej głowy zamówiono jeszcze cały szereg mniejszych główek prezydenta rexizmu i jego przyjaciół politycznych, między innymi Stafa Declerq, przywódcy nacjonalistów flamandzkich.

Nieznani sprawcy skradli wielką głowę Degrelle'a i uczynili niezdatnymi wszystkie inne.

Jak mówią w Brukseli, ta skradziona głowa posłużyła za model zwolennikom Van Zeelanda; na parę dni przed wyborami wypuścili oni na miasto ludzi, którzy zamiast własnej głowy obnosili po ulicach tekturową głowę Degrelle'a i zaopatrzeni byli w walizę z napisem: „jedenastego kwietnia wyjeżdżam do Berlina". Podpisano: Degrelle.

Jak wiadomo Degrelle był właśnie tym, który doprowadził do wyborów z 11. kwietnia. Brukselczycy mu tego nie wybaczyli, albowiem w Belgii głosowanie jest obowiązkowe i każda nieobecnoć karana jest grzywną 100 fr. Jedenasty kwietnia był jedną z pierwszych niedziel wiosennych i liczni Brukselczycy chcieli tego dnia udać się do Ostendy lub Zoote, aby odetchnąć tam powietrzem morskim. Musieli jednak pozostać w mieście aby głosować. Jak wiadomo Degrelle nie uzyskał nic z złych humorów wyborców.

Kim jest La Guardia?

Niski, krępy, ciemnowłosy Włoch La Guardia, obecny burmistrz stolicy amerykańskiej, od lat przejawiał całkowitą swą niezależność. Biograf jego, Ray Tucker, podaje charakterystyczny epizod z okresu, gdy La Guardia, liczący wówczas lat 22, piastował urząd konsula amerykańskiego we Fiume. Był to r. 1904. Władze Fiume zostały powiadomione o przybyciu na krótki pobyt jednej z najwyżej postawionych dam austriackiego dworu. Zarząd miasta zareagował na tę wiadomość w stylu Patiomkina. Przede wszystkim, więc, pomyślano o usunięciu z miasta wszystkich znajdujących się we Fiume emigrantów i w tym celu zarządzono internowanie ich, w liczbie 500, na statku „Panonia" na cały czas pobytu księżnej Pani w mieście. Zarządzenie zostało wydane, jednakże, bez zgody konsula amerykańskiego, który przeciwstawił się kategorycznie bezprawnemu rozporządzeniu i zamierzał nie dopuścić do jego wykonania. Burmistrz posłał do niego swoich żandarmów, by małego pana konsula, o napoleońskich gestach, nauczyć moresu. La Guardii nie można było jednakże nigdzie odnaleźć. Gdy zaś pan burmistrz wrócił do domu dowiedział się ze zdumieniem, że La Guardia podejmowany był przed chwilą herbatę na przyjęciu u małżonki... burmistrza.

Oto ta mieszanina odwagi cywilnej i dobrego humoru cechuje La Guardię w całym przeciągu jego działalności politycznej. Uchodzi on za jednego z najzdolniejszych ludzi w Stanach i nawet prasa przeciwna mu, charakteryzuje go jako człowieka najbardziej interesującego, oryginalnego i ogromnie energicznego.

Gdy po wielkiej wojnie immigracja europejskiej arystokracji zalała poprostu Amerykę, a synowie i córki wuja Pama słali się jej do stóp, oświadczył deputowany L. G. w Izbie Reprezentatnów: „Należałoby surowe nasze prawo immigracyjne zastosować względem wszystkich immigrantów w równej mierze; także względem bezrobotnych hrabiów i książąt, którzy tu przybyli, aby usanować twoją sytuację materialną, wyzyskując przy tym naiwne ambicje arystokratyczne Amerykan".

Z prezydentem Hooverem pozostawał on w ciągłej walce, tak iż podczas prezydentury jego nigdy nie był zapraszany do Białego Domu. We własnej swojej partii republikańskiej nigdy nie był lubiany. Dlatego kandydował jako niezależny i pozwolił poprzeć się przez socjalistów. Samodzielnie też prowadził walkę wyborczą. Wynajął sobie w tyc celu sklep kandydacki w półn. cz. East Side i zorganizował tam wystawę La Guardii. Kawał węgla symbolizował tu spekulanta węglowego; kawał surowego mięsa wołowego był symbolem spekulantów żywnościowych; kufel piwa był wyrazem stanowiska L. G. przeciwko prohibicji. Młode dziewczęta urządzały dla niego pochody agitacyjne, śpiewając piosenki o tekście specjalnie zaktualizowanym, na melodię najnowszych szlagierów. Żony robotników przyprowadzały swoje dzieci do jego lokalu wyborczego, on godzinami zabawiał się z nimi. Wreszcie, na wszystkich słupach ogłoszeniowych ukazały się ogromne plakaty, na których czytano: „Kto jest przeciwko La Guardii?" I codzień kto inny figurował w odpowiedzi: „milioner Hellon, bankier I. P. Morgan, baronowie węglowi i t. d."

W taki o to sposób prowadził La Guardia swoja kampanię wyborczą, która była równocześnie silnym czynnikiem uświadamiającym.

W 1928 roku stanął po raz pierwszy do walki o stanowisko burmistrza nowego Jorku przeciwko Jimmy Walkerowi, temu stałemu bywalcy nocnych lokali. Wówczas jednak, wobec braku jeszcze wśród mas pełnego zrozumienia dla walki jego z bezprawiem i nieuczciwością, walkę tę przegrał. Dalej już tylko walczył jako deputowany. Powoli uznała Izba jego zdolności i nie jednokrotnie zasięgano jego rad w trudnych kwestiach parlamentarnych.

Osobiste napaści są mu najzupełniej obojętne. Gdy przed laty „Chicago Tribune" poddała w wątpliwość jego amerykanizm (La Guardia jest synem przybyłego z Włoch kapelmistrza wojskowego), odparł na to, że należałoby walkę przeciw niemu nieco oczyścić i prowadzić ją na odpowiednim poziomie, gdyż jedyną pociechą jaką ma człowiek w życiu, „to jego dom i jego honor". Wszelki pojedynek słowny z nim jak dotąd zawsze kończył się niepomyślnie dla przeciwnika. Pewnemu dowódcy dywizji, który podczas wojny dowodził jedną z armii, a który obecnie skarżył się, że demokraci w swej walce podatkowej dają się prowadzić przez socjalistów, przypomniał L. G. w ostrej formie, że jako generał pobiera 10 tys. dol. pensji, oprócz diet poselskich, które wynoszą 6 tys. dol. Wobec czego wystąpienie jego nacechowane jest osobistym interesem. On zaś, porzucił intratną praktykę adwokacką, aby się całkowicie poświęcić walce politycznej i od szeregu lat żyje wyłącznie z 6 tys. dol. pensji poselskiej.

Burmistrz Nowego Jorku jest niskiego wzrostu. Gdy zasiada na brzegu swego fotelu, zawsze jakby gotów do skoku, nogi jego ledwo dosięgają podłogi. Ma on wygląd i temperament nawskroś włoski.

Wie zawsze czego chce i nie krępuje się nigdy w wypowiadaniu tego głośno.

Podczas wojny był jednym z pierwszych ochotników U.S.A., służył jako lotnik na froncie włoskim. Jako oficer zawsze i wszędzie występował w obronie powierzonej mu załogi i nigdy nie zawahał się trudne sprawy swoich żołnierzy przedkładać władzy przełożonej.

Jako człowiek cieszy się La Guardia ogromną sympatią. Żyje skromnie i samotnie, lubi jednak w niedzielny wieczór zapraszać do siebie bliskich przyjaciół, aby z przyjemnością odegrać rolę gospodarza i szefa kuchni równocześnie. Przy takich okazjach można go bliżej poznać: mieszanina naiwności i praktycznego liberalizmu, osobistej skromności i politycznego brutalizmu, prawdziwego smaku artystycznego i dynamicznej energii, człowieka lubiącego poklask, lecz bez obaw przed krytyką, oddanego bliźniemu całym sercem. Człowiek poważny i reformator najbogatszego kraju na świecie — oto sylwetka burmistrza Nowego Jorku.

(L—Y).

Pięść obywatela Bonaparte'go

(dokończenie ze str. 4-ej)

centracyjne w Gujanie, dokąd zsyła bez sądu i bez uprzedniego śledztwa, niewygodnych mu opozycjonistów z lewicy. Należy też zaznaczyć, że Napoleon likwidując systematycznie wszelką niezależność społeczną, zniósł instytucje sądów przysięgłych. Sprawę tę w tych słowach komentuje prof. Terlé: „Do reformy sądownictwa należało też zniesienie instytucji sądów przysięgłych. Samowładcza natura Napoleona nie mogła pogodzić się z tym, że w orzeczeniach sądowych biorą udział nieznani od niego przedstawiciele społeczeństwa". Po za tym należy również zanotować ograniczenie wolności strajków. Napoleon z powrotem ustanowił niesumienne prawo Le Chapelier'a z r. 1791 mocą które to ustawy „najbardziej pokojowe strajki, nawet zwykłe opuszczenie pracy po porozumieniu się robotników między sobą, uważane było za przestępstwo kryminalne".

Skończyły się piękne dni Aranjuezu — rewolucji francuskiej. Koniec. Minął czas tych, którzy na barykadach, dymiących świeżą krwią, walczyli o najświętsze prawo człowieczeństwa, o równouprawnienie, o sztandary republikańskie. Tylko na bulwarach i ulicach paryskich pozostało wspomnienie bohaterskich tłumów, tylko na Placu Rewolucji pozostał krwawy ślad po szafocie, tylko w sercach kilku niezłomnych, nieprzeżartych rdzą dyktatury, tliły się jeszcze idee wszechogarniającego braterstwa. Rewolucyjna Francja przeszła przez filtry — napoleońskiej sanacji. A pod opiekuńczymi skrzydłami Pierwszego Konsula, poczęły tworzyć się kliki i koterie, elity i grupy wybranych, znowu poczyna szaleć przekupstwo, ohydny protekcjonizm, znowu karierowicze i dorobkiewicze rozpierają się po wygodnych fotelach i wyciągają ręce po zaszczyty, pieniądze, posady. Znowu raz po raz wybuchają w kraju fantastyczne afery, znowu upodlony tłum liże stopy rządzącej partii wojskowej, znowu ten i ów sprzedaje swe sumienie za miskę jałowej soczewicy, a kraj systematycznie demoralizowany zatraca poczucie własnej godności. W narodzie rządzi policjant, żołnierz i — przemożny dyktator. Rewolucyjna Francja, ojczyzna walecznych, ta, która rodziła się w strumieniach krwi na barykadach paryskich, dostojna matka Rouget de Lisle'a, poety, który zdołał dusze Francuzów przepalić na wieki długie, pieśnią jedyną, laurami okrytą, sztandarami owianą, werblem tarabanów huczącą — Francja wolności poszła w pacht napoleońskiej elity. Drapieżnej, chciwej, prywatą strawionej, cynicznej, — znów zasłaniającej swe karygodne konszachty — płaszczykiem „dobra publicznego". Tragedia dyktatury. Opowiadają, że Napoleon tuż przed koronacją na cesarza, zwrócił się do jednego ze starych republikanów z zapytaniem, jak mu się podoba orszak koronacyjny. Ów republikanin odrzekł: „Niezmiernie, Wasza Cesarska Mości! Żałuję tylko, że niema tu w tej chwili owych trzystu tysięcy ludzi, którzy oddali głowy za to, aby uniemożliwić takie ceremonie".

Napoleon nic nie odrzekł. Zaległo przykre milczenie. Tylko złośliwie uśmiechnął się jeden człowiek: cyniczny, załgany, wyprany z wszelkiej moralności Pierwszy Policjant Francji i jej zły duch — Fouché. Szpicel Fouché.

KINO

„JEDNA NA MILION" STYLOWY

Debiut filmowy „Królowej lodowisk świata" Sonji Henie — budzi z jednej strony zrozumiałe zainteresowanie, z drugiej — duże obawy i zastrzeżenia co do talentu aktorskiego tej znakomitej łyżwiarki. I oba te uczucia pokrywają się z rzeczywistością. Zainteresowanie i pewna wyczekująca ciekawość zostają nagrodzone mnóstwem cudownych popisów Sonji Henie jako łyżwiarki — obawa o jej zdolności filmowe okazuje się całkiem uzasadniona. Całe szczęście jednak, że film jest tak zrobiony, że Sonja Henie nie musi w nim grać — ona tylko tańczy, tańczy na lodzie, płynie w olśniewających piruetach, lekka, powiewna, mająca, zda się, zamiast łyżew — skrzydła przypięte do nóg. Piękno tych scen podnosi jeszcze bogata wystawa i niezużytkowany dotąd efekt tańca zespołów rewiowych na łyżwach. W filmie tym występuje jeszcze ciekawa trójka parodystów — Braci Ritz, którzy w swych ekscentrycznych tańcach i piosenkach ujawnili dużo groteskowego humoru. Poza tym świetny zespół harmonistów Minewitscha w grze swej wykazał charakterystyczny komizm muzyczny. Mimo ubożuchnej treści, naiwnie ujętego zagadnienia etyki sportowej i nadmiaru dialogów — film jest dobry i dostarczający wielu przyjemnych wrażeń.

„NIE UFAJ MĘŻCZYŹNIE" RIALTO

W amerykańskiej produkcji filmowej zawsze panuje jakaś „moda". Ostatnio „modne" są tematy o reporterach, podstępnie wkradających się w życie prywatne bohaterów jakichś ostatnich sensacji, i wyzyskujących je dla swoich „niecnych" czynów — to znaczy dla swojej gazety. Ostatnia komedia Van Dyka ma wszelkie znamiona takiej właśnie produkcji „made in U. S. A." Żywa, wartka, pełna temperamentu i humoru, wciąga widza w swe perypetie, mimo banalnej treści i z góry przewidzianego końca. Wplątanie do akcji wątka sensacyjno-kryminalnego nie wydaje się szczęśliwe. Perypetie, wynikające z samych przygód bohaterów, wystarczyłyby dla urozmaicenia akcji; historia o baronie — szpiegu nie podnosi jego atrakcyjności, a obniża jego poziom. I właśnie może ten moment sprawia, że „Nie ufaj mężczyźnie" nie ma tej lekkości, jaką odznaczają się zwykle filmy tego typu. Trzeba jednak zaznaczyć, że film obfituje w momenty doskonałe i naprawdę zabawne (sceny w zamku Fontainebleau), trójka Joan Crawford, Clarke-Gable i Franchot Thone, jak zwykle niezawodna, dialogi po amerykańsku dowcipne.

Filmy tego rodzaju przypominają znane powiedzenie pana Jowialskiego: „Znacie tę bajeczkę? Znacie? No, to posłuchajcie". Znamy, znamy i posłuchamy... popatrzymy, zawsze bawiąc się jednakowo dobrze.

T. S.

K. Ch. Hajszerych

GDY KULE ŚWISZCZĄ...

(Pamiętnik z czasów wojny).

I.

„Książka Hajszerycha sprawia w czytaniu głębokie nieraz —wstrząsające wrażenie"

(Bolesław Dudziński — „Wiadomości Literackie")

II.

„...Wspomnienia te czyta się z prawdziwą przyjemnością..."

(„Il. Kur. Codz.").

III.

„Prostota i szczerość pamiętnika sprawia, że czyta go się z zapartym tchem...".

(Maurycy Szymel — Nowy Dziennik)

CENA 2 Zł.

Do nabycia:

K. CH. HAJSZERYCH

Warszawa

ul. Gęsia 57 m. 31

Leon Strakun

Wystawa prac „Grupy Siedmiu"

(Główna Biblioteka Judaistyczna, Tłomackie 5)

Żydowskie Towarzystwo Krzewienia Sztuk Pięknych w swej smutnej, doczesnej wędrówce tym razem znalazło przytułek w gmachu Głównej Biblioteki Judaistycznej. Pokój, w którym urządzono wystawę jest nareszcie schludny, zaciszny, posiada niezłe oświetlenie, dwa osobne, niekrępujące wejścia — i gdyby nie brak pewnych wygód — doskonale nadawałby się na czasową kawalerkę.

Nie narzekajmy jednak. Wiemy przecież jak serdeczny jest stosunek żydowskich instytucyj do żydowskiej sztuki. Tymbardziej, że to przecież pierwsza, nieco żenująca, wstydliwa wizyta sztuki w tak solidnym i statecznym gmachu. Chcemy zatem wierzyć, że wielce czcigodny i wielce uczony zarząd Biblioteki, który tak zabawnie tłoczył się i dreptał w dniu otwarcia wystawy w tej przemiłej izdebce, uświadomi sobie, że obrazów nie wiesza się na suficie, ani po ciemnych kątach, i że w przyszłości zadysponuje jednym z rozległych, śmiertelnie nudnych korytarzy gmachu. Niech je przynajmniej ożywią bezdomne obrazy żydowskich artystów.

* * *

Obrazy p. Stanisławy Centnerszwerowej wyróżniają się ciekawą fakturą. Artystka wydobywa z ciekliwej, jakby płynnej materii olejnej nieoczekiwane efekty. P. Centnerszwerowa usiłuje przezwyciężyć tworzywo malarskie, aby je poddać swym ściśle formalnym koncepcjom. To też dostrzegamy w jej pracach zbyt może widoczne, wysuwające się na pierwszy plan tajniki malarskiej „kuchni". To zmaganie się z materiałem i urabianie go w poszukiwaniu własnej, artystycznej prawdy świadczy o żywym stosunku malarki do wartości formalnych w sztuce, o wewnętrznym twórczym niepokoju, który nie pozwala jej poprzestać na dotychczasowych zdobyczach.

W pracach Maksymiliana Feurringa, w zestawieniu dotychczasowym dorobkiem artysty, widzimy zwrot ku spokojnej, opanowanej formie. Uprawdzie Feuerring nie posiada w obecnej chwili jasnego i konkretnego stosunku do otaczającej go rzeczywistości i niemal w każdym obrazie prezentuje inną postawę formalną, niemniej jednak zmierza on ku syntezie koloru, opartej na współbrzmieniu płaskich, zrównoważonych, rytmicznych plam i płaszczyzn barwnych („kobieta i kwiaty"). W innych pracach pokutują jeszcze („Rybacy", „ślubna para") schematyczne, twarde kontury, wyłamujące przedmiot z całości — z kompozycji i tła.

Obrazy p. Romana Rozentala odznaczają się solidnością i brakiem jakichkolwiek efekciarskich łamańców faktury. Artysta zakłada zazwyczaj szeroką, dekoracyjną plamę barwną, jako dominantę obrazu, traktując walorowo całość (Portret pani H. B.) Jest to jednak malarstwo czasem zbyt już dyskretne i monochromatyczne. Obawa przed kontrastem, gubienie się w granicach jednej tonacji prowadzą do jednostajności, wynikającej właśnie z niedostatecznego zróżnicowania barwy („Mury i Dachy")

Izrael Tykociński tym razem wykazuje nieoczekiwany, wręcz zdumiewający postęp. Mam na myśli „Martwą naturę"(46), „Pejzaż" (45), „Pejzaż" wyróżnia się doskonale zwaloryzowanym kolorytem, prostotą w użyciu środków formalnych, wreszcie utajoną, poetycką ekspresję. Również „Martwa natura" utrzymana w ściszonych, ciekawie skontrastowanych barwach, kompozycyjnie zwarta i lapidarna wywiera nader korzystne wrażenie. Tykociński, który zawsze z niezwykłym uporem borykał się z trudnościami technicznymi i który dziś jeszcze daje prace bardzo nierówne — posiada jednak najzupełniej własne, indywidualne oblicze.

„Martwe natury" Henryka Rabinowicza są jeszcze zbyt surowe, monotonne, w kolorze i często przypadkowe w układzie. W pejzażu natomiast artysta czuje się całkiem swobodnie, ujawniając znaczną wiedzę i interesującą inwencję w malarskim konstruowaniu wycinka natury.

Metaloplastyko Józefa Śliwniaka nasuwa poważne zastrzeżenia. Zdolny ten artysta niekiedy („Otchłań") wpada w łatwą, literacką plakatowość. Stąd schematyczne, szablonowe traktowanie postaci, a zwłaszcza manierycznych głów, słabe zróżnicowanie powierzchni blachy, ołówkowe kontury, konwencjonalna kompozycja figuralna. Jest-to tym mniej zrozumiałe, skoro w „Misterium" i „Głowach" artysta trafnie podkreśla walor i odrębne właściwości wątku, którym się posługuje, zdobywając się na oryginalne i mocne w wyrazie blachy.

Malowidła (Portrety i „Owoce") p. Weintrauba są straszne. To nie żadne winogrona — to pestki, które się prędko wypluwa. Chyba, że p. Weintraub jest owym lisem z bajki — zaś winogrona malarstwem. Sądzę, że tym razem nawet łagodny i dobry kol. Weinzieher nic z p. Weintrauba nie wyciśnie.

LEKSYKON SYJONISTYCZNY

PEŁNA ENCYKLOPEDIA SYJONISTYCZNO-PALESTYŃSKA

w 4-ch dużych ilustrowanych tomach (zeszytami — 10 zesztów — tom).

Komitet redakcyjny: **Dr. J. Schipper, Dr. A. Tartakower, Dr. N. M. Gelber B. Cweibaum i P. Wasserman.**

Bliska współpraca wybitnych sił naukowych i literackich.

Dotąd ukazało się 8 zeszytów z bogatym materiałem syjonistycznym, palestynoznawczym i biograficznym.

LEKSYKON SYJONISTYCZNY STANOWIĆ BĘDZIE NIEZBĘDNĄ KSIĘGĘ PODRĘCZNĄ W RĘKACH KAŻDEGO SYJONISTY LUB SYMPATYKA SYJONIZMU.

Cena każdego zeszytu wraz z wysyłką — 75 gr. Zagranicą — 30 cent

Adminstracja przyjmuje również abonament na wszystkie 4 tomy.

Adres dla korespondencji: **Red. Leksykonu Syjonistycz. Warszawa, Nowolipki 6, telefon 11-01-44.**

Dla przesyłek pieniężnych: Przekaz **Rozrachunkowy Nr. 719.**

Każdy podróżny i turysta, zwiedzający

KRAKOW

jest gościem

Kawiarni i Restauracji

ROYAL

vis a vis Wawelu

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.

Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz. Warszawa